



Carol Marinelli

Nieprzespane noce

Tytuł oryginału: The Single Dad's Marriage Wish



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Witaj, słonko. - Weszła do kabiny z szerokim uśmiechem na twarzy, mimo że jej obecność nie wzbudziła entuzjazmu obecnych tam dwóch osób.

Chłopiec nie wyróżniał się niczym szczególnym, czego nie można było powiedzieć o mężczyźnie, którego ujrzała po raz pierwszy.

- Nie jego mam na myśli - wyjaśniła, machnąwszy ręką w stronę lekarza, na co mały pacjent nagle się rozchmurzył i posłał jej szeroki uśmiech, co zdarzało mu się bardzo rzadko. Andy powinien częściej się uśmiechać, pomyślała. - Mam na imię Charlotte - poinformowała lekarza, sprawdzając wenflon chłopca i zapisując swoje obserwacje. - Charlotte Porter.

- Hamish - mruknął, nie podnosząc wzroku znad skierowania na prześwietlenie, które właśnie wypisywał. - Hamish Adams.

Więc to jest ten słynny Hamish!

Mimo że pracowała na tej urazówce dopiero od dwóch tygodni, jego imię nieustannie obijało się jej o uszy.

- Hamish robi to tak...

- Hamish tego wymaga...

Hamish, Hamish, Hamish.

I oto ma go przed sobą. Owszem, bardzo atrakcyjny. Dość wysoki. Starła się, by nie zauważył, że mu

się przygląda. Kruczoczarne włosy, piwne oczy. Zauważyła ich kolor, kiedy na moment podniósł wzrok, gdy podchodziła do łóżka Andy'ego. Poczowała wtedy dziwny niepokój. Wyglądał, jakby dopiero się obudził.

Wypisując kolejne zlecenia, stłumił ziewnięcie. Był nieogolony, ale mokre włosy wskazywały, że zdążył wziąć prysznic. Ładnie pachniał. Charlotte poczuła, że się czerwieni.

- Poproszę o zdjęcia jamy brzusznej - powiedział, wręczając jej skierowanie. - I o bardziej szczegółowe badanie krwi. - Spojrzał na zegarek. - To nie jest pilne. Pobiorę mu teraz krew i oddam ją do badania, a ze zdjęciami możemy poczekać do dziewiątej, kiedy pracownia radiologiczna rozpocznie pracę. Jak pojedzie siostra z nim na prześwietlenie, to proszę poprosić radiologa, żeby przygotował jego poprzednie zdjęcia.

- Za kilka minut schodzę z dyżuru, ale nie omieszkam tego przekazać zmiennicze. Andy - zwróciła się do chłopca - wpadłam, żeby się z tobą pożegnać. Jak przyjdę na następny dyżur, postaram się cię odszukać.

- I odwiedzi mnie siostra na oddziale?

- Jasne. - Jej uśmiech nieco zbladł, gdy zauważyła ponure spojrzenie Hamisha.

Powiedziała coś niestosownego? Pielęgniarki z ratownictwa często odwiedzały swoich pacjentów na oddziałach, do których ich przewożono.

Andy zjawił się w izbie przyjęć o czwartej rano z silnym bólem w jamie brzusznej. Niepokojące było to, że trafił tutaj po raz trzeci w ciągu dwóch miesięcy. Zapoznawszy się z wcześniejszymi wpisami oraz po

rozmowie z jego matką, Charlotte zastanawiała się, czy Andy cierpi na jakąś chorobę, czy w ten sposób reaguje na prześladowania ze strony kolegów z klasy.

Jeżeli odrobina jej zainteresowania może mu pomóc, to z przyjemnością odwiedzi go na oddziale. Niezależnie od humorów doktora Adamsa.

To nie troska Charlotte o pacjenta sprawiła, że ściągnął brwi, a zaskoczenie. Był gotowy się założyć, że ta kobieta właśnie zaczęła dyżur, a nie że jest po nieprzespanej nocy. Taka pełna życia, świeża, zupełnie inna niż przeciętny człowiek po jedenastu godzinach pracy.

O tym, że Charlotte jest wyjątkowa, dopiero miał się przekonać.

- A to skąd się wzięło?! - Z udanym przerażeniem spojrzała na skierowania. - Pan doktor nie wie, że te blankiety są nieważne?

- Słucham?

- Nikt pana nie poinformował o zmianie nazwy naszej placówki?

Na jej sarkazm odpowiedział bladym uśmiechem. Od samego początku mówiło się o tym na wszystkich zebraniach i spotkaniach kierownictwa.

Camberfield było niewielkim miasteczkiem oddalonym o dwie godziny drogi od Melbourne, a miejscowy szpital ogólny przez całe lata dobrze służył jego mieszkańcom, aż jakiś biurokrata wpadł na genialny pomysł, by w celu ułatwienia pacjentom dostępu do usług medycznych zlikwidować małe wiejskie placówki, a szpital w Camberfield podnieść do wyższej rangi. W rezultacie szpital ten obsługiwał teraz tak

wielki obszar, że na jednym z zebrań Hamish rzucił propozycję opracowania systemu nagród dla pacjentów, którzy w drodze do szpitala pobiją rekord czasu spędzonego w samolotach lub śmigłowcach.

- Radiolog i hematolog nie powinni robić tru...

- Ale będą - weszła mu w zdanie i z powagą zacytowała fragment najnowszego komunikatu dyrekcji. - „Po raz kolejny przypominamy, że bez zlecenia na stosownym blankiecie nie będą wykonywane żadne procedury...” - Zawiesiła głos. - Więc radzę napisać to jeszcze raz. Ale najpierw proponuję wyrzucić wszystko z kieszeni.

- Później je wyrzucę.

- Nie, bo wcześniej nasz pacjent wróci z radiologii bez zdjęcia. Już to przerabialiśmy. Poza tym nie wolno panu wyrzucić tych blankietów ot tak, byle gdzie. Kazano nam je pociąć na małe kawałeczki i wrzucić do makulatury. - Pstryknęła palcami, aż zamrugął. - Proszę opróżnić kieszenie.

Już miał jej powiedzieć, co może zrobić z takimi żartami, ale gdy Andy, który niewiele zrozumiał z tej wymiany zdań, zachichotał, posłusznie przekazał jej bloczki.

- Wszystkie - warknęła.

Jak małolat przyłapany na paleniu papierosów grzecznie opróżnił kieszenie białego fartucha. Prawdę mówiąc, jedynym powodem, dla którego nakładał fartuch, były jego przepastne kieszenie. - Wiem, że trudno się z nimi rozstać, ale jeszcze będzie mi pan za to wdzięczny.

- Niech siostra pokaże panu doktorowi! - zawołał rozbawiony Andy. Teraz było to zupełnie inne dziecko

niż to, które Hamish badał jeszcze chwilę temu. - Niech siostra zrobi tę minę!

- Zrobiłam ją tylko dla ciebie — odparła stanowczym tonem. Hamish obserwował, jak ta pewna siebie kobieta nagle się czerwieni i poprawia koc.

- Niech siostra pokaże panu doktorowi - prosił chłopiec, po czym przeniósł wzrok na Hamisha. - Jak była mała, to wszyscy się z niej śmiali - wyjaśnił.

Teraz, kiedy Charlotte zjawiła się przy jego łóżku, Andy nagle się otworzył, więc Hamish z zainteresowaniem czekał, co będzie dalej. Charlotte była osobą tak otwartą, że nic nie wskazywało na nieszczęśliwe dzieciństwo. Była przy tym śliczna, więc na pewno nikt w szkole jej nie prześladował. Miała piękne ciemne włosy ściągnięte gumką w koński ogon i oczy niebieskie jak chabry.

Bez wątpienia była najładniejszą dziewczyną w całej szkole, pomyślał, więc na pewno konfabuluje.

- Naprawdę? - zapytał.

- Naprawdę - przytaknęła. - Bezlitośnie. Z utęsknieniem czekałam na ostami dzwonek o wpół do czwartej... no, czwartej, żeby uciec do domu.

- Dokuczali siostrze, jak siostra czekała, aż przyjadą po siostrę rodzice?

- Jeździłam szkolnym autobusem. Niestety, cała reszta klasy też.

- Przezywali ją Kulas - wyjaśnił Andy.

- Naprawdę? - Nie wierzył w ani jedno jej słowo, ale był zachwycony, że jest o krok od sprowokowania chłopca do bolesnych zwierzeń. - To bardzo nieprzyjemne. Andy, ciebie też przezywają?

- Ciągle. - Chłopiec miał brzeg prześcieradła.

- Przykre, prawda? - Hamish zapewne inaczej by to ujął, ale to dobrze oddawało, co Andy czuje, bo pokiwał głową. Nareszcie zwierzył się komuś dorosłemu.

- Oni mnie nie lubią.

- Bo cię nie znają - powiedziała Charlotte, a Hamish z podziwem spojrział na tę niebywale spostrzegawczą pielęgniarkę. Nieważne, zmyśla czy nie. Temu dziecku właśnie tego potrzeba. - Widzą tylko twoje okulary i twoją skórę, - Dotknęła jego czerwonego i chropowatego ramienia. Tak zaawansowaną łuszczycę u dziecka Hamish widział po raz pierwszy w swojej karierze.

W geście Charlotte nie było litości. W przeciwieństwie do jego rówieśników pokazywała Andy'emu, że nie jest obrzydliwy, dawała mu kontakt fizyczny tak potrzebny każdemu człowiekowi.

- Mówią, że jestem głupi. Że głupi się urodziłem.

- To oni są głupi. Nie wiedzą, co wygadują. Wielu sławnych ludzi było dyslektykami, chociaż w tej chwili żadne nazwisko nie przychodzi mi do głowy.

- Leonardo da Vinci - pospieszył jej z pomocą Hamish.

- Kto? - Andy ściągnął brwi.

- Nie przejmuj się. - Rzuciła Hamishowi spojrzenie pełne wdzięczności. - Wyszukam nazwiska sławnych dyslektyków, których znasz. Zapewniam cię, że jest ich bez liku. Jestem przekonana, że z czasem nauczysz się dawać sobie z tym radę. - Pochyliła się, by przytulić chłopca, który się rozpłakał. - Myślałam, że nigdy się nie pozbędę klapki na oku, że jestem na nią skazana do samej śmierci. Ale to się zmienia,

naprawdę. Mówię ci, jak trochę siebie polubisz, to zmieni się wszystko, nawet twoja skóra się poprawi...

- Tak siostra mówi?

- Jestem o tym przekonana. A nawet jeśli się nie poprawi, to będziesz tak zajęty, że nie będziesz zwracał na nią uwagi. Ale na początek musisz wyzdrowieć tutaj... - Przyłożyła dłoń do jego serca.

- To takie łatwe?

- O nie, szukanie szczęścia nie jest proste - powiedziała, uśmiechając się do niego. - Trzeba mocno się napracować. Ale z czasem nabiera się wprawy.

- Oni mi ciągle dokuczają. - Andy podniósł wzrok na Hamisha. - Tak samo jak dokuczali siostrze Charlotte. Przezywali ją też Dumbo, bo jej odstawało ucho. I miała krzywe zęby. Siostrzo, niech siostra mu pokaże - nalegał.

Podchodząc do łóżka Andy'ego, nie spodziewała się, że zostanie poproszona o taki pokaz. Lecz widząc błagalne spojrzenie małego pacjenta, stłumiła zażenowanie. Wsunęła dłoń za lewe ucho i pomachała nim jak rzeczony Dumbo, jednocześnie wysuwając do przodu górną szczękę i zezując lewym okiem. Wbrew oczekiwaniom Hamisha Andy nie wybuchnął śmiechem, lecz spojrzał na lekarza.

- Widział pan? Siostra Charlotte była naprawdę brzydka, ale teraz jest śliczna, prawda?

- Hm, oczywiście - przytaknął Hamish. - Charlotte, możemy porozmawiać, zanim skończysz dyżur?

- Andy, za chwilę do ciebie wracam - obiecała, dziękując Bogu za chwilę wytchnienia.

- Dzięki - powiedział, gdy wyszli z sali. - Wiem, że już dawno jesteś po dyżurze.

- Nie ma sprawy. Ważne, że Andy zaczął mówić.
- Miałem z nim do czynienia, kiedy wyładował tu poprzednim razem, ale nie udało mi się z niego wyciągnąć ani słowa. Już wtedy podejrzewałem, że główną przyczyną tych bólów brzucha są problemy w szkole. Rozmawiałaś z jego matką?

- Tak, niedawno. Karmi piersią młodsze dziecko, więc spieszyła się do domu. Powiedziała, że Andy bardzo się stara nie odstawać od innych i że jest obiektem drwin. W zeszłym tygodniu wrócił do domu cały umorusany, z połamanymi okularami. Twierdzi, że się przewrócił. - Charlotte z niedowierzaniem pokręciła głową. - Obawiam się, że doszło do przemocy fizycznej.

- Dranie - mruknął Hamish. Ku jego zdziwieniu Charlotte nie dołożyła swojego komentarza, lecz się uśmiechnęła.

- Dranie są wszędzie. Jeśli Andy chce cokolwiek w życiu osiągnąć, musi nabrać do nich właściwego podejścia.

- On ma dopiero osiem lat.

- Więc nie jest za stary, żeby się nauczyć paru sztuczek. Myślisz, że te bóle to coś poważnego?

- Wyniki wszystkich badań są prawidłowe, ale nie wolno nam tego bagatelizować - zastrzegł się. - Postaram się, żeby przyjęto go na oddział, nawet jeżeli przyczyną jego dolegliwości okaże się wyłącznie stres. Poza tym... - Podrapał się po brodzie. - Należy go hospitalizować choćby tylko z powodu łuszczycy. Trzeba nad nią zapanować. Dziwi mnie, że jeszcze nikt nie skierował go do dermatologa.

- Jego mama twierdzi, że łuszczyca nasiliła się niedawno. Była z nim u lekarza, który zmienił mu leki.

- No cóż, widać, że są nieskuteczne. Poproszę dermatologa, żeby go obejrzał.

- Dobrze by było, żeby ktoś z nim porozmawiał, na przykład psycholog dziecięcy - weszła mu w słowo, uradowana, że pomyślał o tym samym co ona, a nie skupił się wyłącznie na dolegliwościach fizycznych chłopca.

- Żeby go nauczył paru sztuczek? - zapytał, nie kryjąc sarkazmu, ale ona nie poczuła się urażona.

- Oby tak się stało! Mama obiecała mu ładniejsze okulary. Wiem, że niewiele zmieniają, ale może dodadzą mu trochę wiary w siebie.

- Tak, tego zdecydowanie mu brakuje. Dobrze, że trochę się otworzył. Mam wrażenie, że jest w depresji.

- Myślę... - Przygryzła wargę. - Wystarczyłoby, żeby miał jednego kolegę, z którym mógłby się bawić, który by go zapraszał do siebie...

- Magiczną różdżkę. - Uśmiechnął się ponuro. - Spisałaś swoje obserwacje?

- Zostało mi jeszcze parę zdań. Zaraz ci je przekażę.

- Dzięki.

Trwało to znacznie dłużej. Gdy Hamish wrócił po dłuższej rozmowie z Andym, Charlotte nadal siedziała przy biurku.

- Proszę. - Podała mu starannie zapisaną kartkę. - Trochę się rozpisałam, ale musiałam uwzględnić to, co zauważyłam, kiedy się rozgadał.

Hamish z uznaniem spoglądał na jej sprawozdanie, zdecydowanie pomocne, gdy przyjdzie mu namawiać specjalistów, by zbadali Andy'ego.

- Dzięki, Charlotte. Śpij dobrze.

Tymi słowy automatycznie żegnano nocną zmianę, nawet nie spoglądając w stronę wychodzących, więc dlaczego tym razem zabrzmiały inaczej? Dlaczego nie zajął się swoimi sprawozdaniami, tylko słuchał wyjaśnień Charlotte?

- Gdybym tylko mogła się wyspać! - westchnęła.
- O dziewiątej mam interview.

- Interview? Ten nocny dyżur to zastępstwo?

Obserwował, jak Charlotte chowa słuchawki i frotkę do przepastnej torby, jak potrząsa głową, by ułożyć włosy, i bez skrępowania wyjmując lustro, maluje rzęsy i wargi. I nie przestaje mówić.

- Nie, jestem przypisana do izby przyjęć. Przynajmniej na trzymiesięczny okres próbny. Pracuję tu od dwóch tygodni.

- To po co ta rozmowa? - Miał powody o to pytać, bo nie życzył sobie przemęczonych pielęgniarek pracujących w dwóch miejscach. Charlotte nie wyglądała na wyczerpaną, wręcz przeciwnie, tryskała energią.

Wrzuciła tusz i błyszczak do torby, ale ciągle czegoś w niej szukała. Po chwili z jej czeluści wydobyła niewielki flakonik z perfumami. Ten zapach owiął go wcześniej, gdy stanęła przy łóżku Andy'ego.

- Charlotte! - ofuknęła ją Helen, siostra przełożona, podchodząc do stanowiska pielęgniarek. Mimo że przybyła do Australii czterdzieści lat wcześniej, do tej pory nie pozbyła się irlandzkiego akcentu. - Tutaj nie wolno się perfumować. Tu są alergicy.

- Odrobina perfum im nie zaszkodzi - odparła wesoło Charlotte. Ku zdumieniu Hamisha Helen także się uśmiechnęła, mimo że zazwyczaj przez cały dyżur

chodziła z kwaśną miną, jakby na śniadanie piła wyłącznie sok z cytryny. - Przecież to ładniej pachnie niż ten cholerny środek dezynfekujący.

- To jest szpital, a nie buduar. Charlotte, jak tak można? - gderała całkiem pogodnie Helen. - Kto to widział, żeby się malować na oczach pacjentów! Jestem na to za stara.

- Bzdura. - Charlotte puściła do niej oko. - Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje.

- Zmykaj stąd! - Helen nie tylko się zaczerwieniła, ale wręcz roześmiała, co Hamishowi wydało się niepojęte. - Jesteś okropna!

- Już mnie nie ma! - Charlotte zerwała się z krzesła i zniknęła za drzwiami.

- To dobra dziewczyna - wyjaśniła Helen, sięgając po rozpylacz ze środkiem dezynfekującym, by zabić zapach perfum, ale pojemnik okazał się pusty. - Zakręcona i straszna gaduła, ale pracuje bez zastrzeżeń. I z kilkuletnią praktyką na wsi. To tam wykluwają się najlepsze kadry pielęgniarские. Nasze toalety jeszcze nigdy tak nie lśniły jak teraz, a pościel nie była tak pięknie poskładana. I nie stroni od rozrywki. Widziałeś ogłoszenie, które rozwiesiła na oddziale? Przeczytaj. Pacjenci za nią przepadają. Ona każdego potrafi oczarować. Pójdę po nowy odświeżacz powietrza. Przynieść ci coś do picia?

- Poproszę. - Zastanawiał się, nie po raz pierwszy, dlaczego pielęgniarki z izby przyjęć są takie gadatliwe, kiedy zadzwonił telefon. - Oddział ratownictwa, słucham.

- Cześć, Hamish. Tu Rita z patologii. Dostaliśmy krew pana Fylde lat czterdzieści osiem z prośbą

o oznaczenie poziomu troponiny i innych markerów. Podam ci numer pacjenta...

- Nie trzeba. Znam go. To do niego tak wcześniej mnie wezwano. Przeczytaj mi wyniki.

- Przykro mi. Nie możemy wykonać zlecenia, dopóki nie dostaniemy go na właściwym formularzu.

- Ten facet ma atak serca. Rita, nie marudź, zrób te badania.

- Nie mogę. Najpierw muszę dostać właściwy kwit. Nie czytałeś najnowszego pisma dyrekcji? - Odsunęła słuchawkę od ucha, by dać się Hamishowi wykrzyczeć.

W końcu cisnął słuchawkę, chwycił nowy bloczek zleceń i ciagle kipiąc z wściekłości, zaczął pisać.

- Poproszę portiera, żeby je zaniósł do laboratorium. - Helen wyciągnęła dłoń po zlecenie. - Hamish, bój się Boga, przykazałam dziewczynom, żeby przeszukały wszystkie szuflady i szafy na oddziale, sama przejrzałam je po raz drugi... - Urwała, bo znowu zadzwonił telefon. - To była Rita - oznajmiła po chwili. - Zrobiła te analizy wyłącznie przez wzgląd na ciebie, ale po raz ostatni. Zadzwońię po kardiologa.

- Macie coś do laboratorium? - Przy stanowisku zameldował się Mike, starszy wiekiem sanitariusz.

Hamish podał zlecenie, po czym pogrzebał w kieszeni i wręczył mu dwa dolary.

- Mike, wyświadcz mi przysługę i po drodze do laboratorium kup Ricie czekoladkę w automacie.

- Muszę jeszcze raz przetrząsnąć wszystkie zakamarki... - zrzędziła Helen.

- Nie musisz. To ja się zagapiłem - wyjaśnił Hamish. - Stare blankiety miałem w kieszeni fartucha. Nosiłem je tam przed urlopem.

- Wyrzuć je natychmiast!
- Już to zrobiłem.

Odetchnąwszy głęboko, poczuł perfumy Charlotte, których zapach jeszcze wisiał w powietrzu, i po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy zorientował się, że nie myśli o pracy ani o synku, tylko o kobiecie. Wprawiło go to w zakłopotanie.

O kobiecie, która nie była Emmą.

Pierwszy raz miał do czynienia z osobą tak pełną sprzeczności, beztroską i radosną, a jednocześnie bystrą i niesłuchanie mądrą jak Charlotte Porter.

Wrócił do rzeczywistości, gdy Helen postawiła przed nim kubek. Potem rozmawiał z kardiologiem, pisał coś i nawet rozmawiał z Helen, która narzekała na stan łóżek oraz na nowy system komputerowy. Ale niezależnie od tego, jak bardzo się starał zagłuszyć te myśli, one nie dawały mu spokoju jak natrętna mucha, dopóki nie przyznał się przed sobą, że... Charlotte jest zabójczo piękna.

Kilka godzin później do gabinetu wkroczyła Belinda, jego siostra.

- Wyglądasz bardzo elegancko - rzekł na powitanie.
- Dzięki.
- Gdzie Bailey? - Ściągnął brwi, jakby czekał, aż jego synek podbiegnie z nim się przywitać. Zaniepokoił go niepewny uśmiezek na twarzy Belindy. - Coś się...?
- Nie, nic. Jest w żłobku - zapewniła go. - Chciałam z tobą porozmawiać, zanim pojedę do domu i zajmę się kolacją.
- Nic dziwnego, że jestem taki głodny. - Popatrzył na zegarek. - Nie jadłem nawet lunchu. Bel, nie

możesz porozmawiać ze mną kiedy indziej? Mam kupę zaległości. Nie było mnie dwa tygodnie...

- Ta sprawa nie może czekać. - Usiadła. Milczała przez dłuższą chwilę, jakby czekała, aż on pomoże jej zacząć.

Ale on się nie kwapił. Nie z powodu masy papierów, które uzbierały się w trakcie jego nieobecności. Po prostu nie miał ochoty na tę rozmowę. Od kilku dni, może nawet od kilku tygodni czuł, że jest ona nieuchronna. Spoglądając na Belindę, złagodniał. Przez ostatnie półtora roku tyle dla niego zrobiła, że mogłaby jej choć trochę pomóc. Nawet jeśli nie ma na to ochoty.

- Domyślam się, że włożyłaś ten elegancki kostiumik nie tylko dlatego, że znudziły ci się dżinsy.

Belinda przytaknęła.

- Oraz że ta teczka, którą trzymasz na kolanach, zawiera twój życiorys oraz referencje.

Ta wytworna kobieta siedząca przy jego biurku w niczym nie przypominała odzianej w T-shirt i dżinsy gospodyni domowej oraz matki, od której tyle w jego życiu zależy.

- Wracasz do pracy?

- Nie chciałam ci o tym mówić, dopóki wszystkiego nie załatwię. Wiem, że powinnam...

- Belindo, nie uzależniaj swojej kariery zawodowej ode mnie. Jesteś tak jak ja lekarzem. Zawsze było dla mnie oczywiste, że gdy Alicia pójdzie do szkoły, zechcesz wrócić do zawodu.

- Ale nie w pełnym wymiarze godzin - wyjaśniła pospiesznie. - Będę przyjmowała głównie w przychodni oraz wezmę kilka dyżurów w izbie przyjęć. Nadal będę mogła pomagać ci przy Baileyu, z tym że...

- Rzadziej - dokończył za nią. - Cóż, poradzę sobie.

- Jak?

On także zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji: dzięki jego osobistej protekcji jego wierna gospośnia miała w tym tygodniu przejść operację kolana.

- Elsie za dwa dni ma zabieg - zauważyła ponuro Belinda. - A ty prawie co noc jesteś wzywany do szpitala.

- Jakoś to załatwię.

- Szef przychodni chce mnie zatrudnić od zaraz. Nawet już jutro. Powiedziałam, że nie mogę...

- Wracaj do niego i powiedz, że możesz - odrzekł bez wahania. - Zadzwoń do żłobka i przedłużę czas pobytu Bailey'a...

- Hamish, on wymaga opieki nie tylko za dnia.

- Więc skontaktuję się z agencją opiekunek. - Kiedy w tym natłoku zajęć znajdzie czas na rozmowy z kandydatkami na opiekunki? Nie tylko na rozmowy: pokój gościnny, który z czasem przemienił się w rupieciarnię, wymaga poważnego remontu.

- Już kogoś znalazłam.

- Słucham? - Wyrwała go z zamyślenia. - Nianię?

- To nie jest zwyczajna niania. - Belinda uśmiechnęła się nerwowo. - Całodobowa opiekunka kosztuje majątek i nie jest ci potrzebna. Bailey lubi przyszpitalny żłobek, gdzie oboje możemy go odwiedzać w ciągu dnia. Potrzebny jest ci pomocnik, który przywiezie go do domu, kiedy oboje będziemy zajęci, albo przygotuje kolację, ktoś, kto będzie w domu, jak w nocy zostaniesz wezwany do pacjenta.

- Kto by się tego podjął? - zapytał poirytowany.

- Mam zatrudnić kogoś tylko po, to, żeby od czasu do czasu przez dwie godziny zajął się Baileyem?

- Ta dziewczyna jest pielęgniarką - wyjaśniła Belinda. - Ma duże doświadczenie. Rano z nią rozmawiałam. Zgodziła się opiekować Baileyem w zamian za pokój...

- W grę wchodzi dużo więcej niż opieka nad dzieckiem.

- Ona też chce więcej niż twój pokój gościnny - odparła Belinda. - Interesuje ją również stajnia. Dla konia i kucyka.

- Wykluczone!

- Hamish, stajnia stoi pusta.

- Dziwi cię to? Nie chcę żadnych koni w pobliżu domu.

- A ja nie chcę rezygnować z tej pracy. - Była bliska łez. - Tylko w ten sposób możemy to zorganizować. Charlotte przyjechała ze wsi i mieszka teraz w schronisku młodzieżowym. Szuka mieszkania, ale nie stać jej na wynajmowanie stajni. Zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie. Ona tu pracuje, więc nie ma nic przeciwko odwożeniu Bailey'a do żłobka...

- Czy ona zdaje sobie sprawę z tego, jak nieprzewidywalne są godziny mojej pracy?

- Charlotte jest pielęgniarką, więc dla niej to nic nadzwyczajnego.

- Charlotte?

- Charlotte Porter. Znasz ją? Pracuje w tym szpitalu.

- Tym mniejsza szansa, że to się uda. Nie chcę mieszkać z kimś, kogo oglądam każdego dnia.

- Znasz ją? - powtórzyła.

- Nie. - Przypomniał sobie chwilę, kiedy zjawiła się przy łóżku Andy'ego, - To nie ma szansy powodzenia.

- Co ci szkodzi spróbować? Hamish, z całego serca chcę ci pomóc. Wiem, jak bardzo jestem ci potrzebna i nie mam nic przeciwko zajmowaniu się Baileyem. Charlotte ma dyżury ustalone z miesięcznym wyprzedzeniem, więc możemy się wymieniać. Hamish, muszę wrócić do pracy.

- Wiem.

- Nie, nic nie wiesz. - Pokręciła głową. - Tu nie chodzi wyłącznie o moje ambicje zawodowe. Potrzebujemy pieniędzy. Chodzą słuchy, że firma Ricka przenosi się do Melbourne. My zostajemy. Nie martw się, nie wyjedziemy.

- Bel, najważniejsza jest twoja rodzina. Nie...

- Ty i Bailey też jesteście moją rodziną, a poza tym wcale nie chcemy się przeprowadzać. Camberfield bardzo się nam podoba. Rick zamierza założyć firmę, ale nie jest wykluczone, że przez parę miesięcy nie będzie miał żadnych dochodów.

Mimo że we wczesnej młodości nieraz dochodziło między nimi do konfliktów, to odkad niespodziewanie owdowiał, siostra i szwagier stanęli przy nim murem. Teraz nagle zdał sobie sprawę, że pogrążony w żałobie, każdego dnia walcząc o przetrwanie, ani razu nie zastanowił się, czy może i oni mają problemy.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Bo masz wystarczająco dużo własnych kłopotów. - Wstając, zamknęła ten temat. Z ręką na klamce, by na wypadek eksplozji umknąć jak najszybciej, podjęła nowy wątek. - Proszę cię, spróbuj. Wiem, że to nie

jest idealne rozwiązanie, ale być może okaże się dla was najlepsze.

- Nie ma idealnych rozwiązań - mruknął. Wraz ze śmiercią Emmy zniknęły wszelkie szanse na doskonałość. - Nie martw się o nas, będzie dobrze.

- Spróbuj z Charlotte.

- Zobaczą. - Nikt do niczego nie będzie go zmuszał. - Belindo, jeżeli ty będziesz w potrzebie, pamiętaj o mnie.

- Wiem, że mogę na ciebie liczyć. Hamish, nie mów Rickowi, że powiedziałam ci o jego kłopotach.

- Jasne. Od kiedy ta Charlotte ma u mnie mieszkać? Powinienem wyremontować jej pokój...

- Nie trzeba. - Otworzyła drzwi. - Ona już się tam przeprowadza. Wiem, powinnam była cię uprzedzić, ale to chodzący ideał. Zatrudniłam ją bez chwili namysłu.

- Słucham?! Nie masz prawa...

- Być może, ale nie mogłam pójść do pracy, nie zadbawszy o ciebie i Bailey'a. Nie spodziewałam się, że to się stanie tak szybko. Gdybym nie poznała Charlotte, nie zdecydowałabym się na powrót do pracy.

- Do mnie należy decyzja, kto ma opiekować się moim dzieckiem i mieszkać pod moim dachem. Idź do niej i jej powiedz...

Wiedziała, że nie będzie łatwo. Zamiast zniknąć za drzwiami, zawróciła.

- Jak chcesz. Ale stąd idę prosto do ordynatora, żeby go poinformować, że biorę ten jutrzejszy dyżur. - Widząc, jak zaciska zęby, poczuła się jak najpodlejsza istota pod słońcem. Mimo to uznała, że Hamish musi pogodzić się z sytuacją. - Aha, rano dzwoniła sios-

trzenica Elsie. Dała mi do zrozumienia, że Elsie chętnie spędziłaby u niej kilka dni przed i po operacji. Chciałam powiedzieć, że jutro masz dyżur...

- Ale tego nie zrobiłaś?

- Nie. - Dlaczego jego życie tak się skomplikowało? - Hamish, czasami pojawiają się okazje, z których nie wolno nam rezygnować. Masz do mnie zaufanie, prawda? - Przytaknął, aczkolwiek niechętnie. - Ogłoszenie dałam do lokalnej gazety wczoraj, przekonana, że będzie to pierwszy krok w długotrwałym procesie. Miałam zamiar dzisiaj z tobą porozmawiać, ale zadzwoniła Charlotte. Umówiłam się z nią, że przyjdzie rano. Bailey zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Ona jest nadzwyczajna. - Uśmiechnęła się. - Była po nocnym dyżurze, ale trudno było to zauważyć. Zamiast iść spać, postanowiła od razu się wprowadzić i zrobić porządek w pokoju. Zaraz po naszej rozmowie pojechała po farby.

- A jeżeli powiem „nie”? - Obserwował siostrę.

- Przyszedł czas na zmiany. Czy ci się to podoba, czy nie, każdy z nas czasem potrzebuje pomocy. - Czuła, że jej dumny brat mięknie. - Mam odebrać małego i go nakarmić? Potem przyjechalibyśmy do ciebie. Przedstawiłabym ci Charlotte, zakładając, że nie będzie już spała.

Spoglądając na stertę dokumentów na biurku, miała ochotę powiedzieć „tak”, pogodzić się z myślą, że potrzebuje pomocy, że dobrze by było, gdyby odebrała małego i go nakarmiła.

Przed oczami stanął mu obraz synka, jego różowa puciołowata buzia i pulchne rączki...

Od dwóch lat był ojcem, ale tatusiem stał się

dopiero w trakcie minionych dwóch tygodni. Podczas zasłużonego urlopu po raz pierwszy od śmierci żony odetchnął pełną piersią, po raz pierwszy te dni nie były logistycznym koszmarem. Nie musiał przez ten czas łączyć pracy z opieką nad dwulatkiem, zastanawiać się nad rozkładem dyżurów, planami anielsko cierplivej siostry oraz stanem zdrowia leciwej gosposi, pamiętać o rachunkach, o wynagrodzeniu Elsie oraz ogrodnika, znajdować czasu dla Bailey'a... no i czasami o tym, żeby coś zjeść.

Odkrył uroki wylegiwania się w łóżku, oglądania kreskówek na DVD, wygłupiania się z plastikowym mikrofonem w oczekiwaniu, aż Bailey zrobi siusiu do jaskrawoczerwonego nocnika.

Niestety, Bailey nie spełnił jego oczekiwań.
Ani razu.

W domu wisiała chmura środka dezynfekującego, a na podłodze widniały dziesiątki jaśniejszych wyszorowanych plam, jakby Hamish sprawił sobie szczeniaczka, ale on i tak był zachwycony.

Jeszcze raz z obrzydzeniem spojrzął na piętrzące się przed nim papiery. Ma to w nosie. Interesuje go wyłącznie syn, reszta musi poczekać.

- Bel, jedź do domu. Sam odbiorę Bailey'a.
- Na pewno? - Zaniepokoił ją ton jego głosu. - Hamish, jeżeli mój powrót do pracy...
- To nie ma nic wspólnego z twoim powrotem do pracy. Po prostu jest mi przykro, że mały tak się tuła, żebym ja mógł pracować.
- Ty kochasz tę pracę.

Czyżby? Tak, kiedyś ją kochał, wiedział, że jest dobry, potrzebny, ale teraz z każdym dniem, kiedy

zostawiał małego w żłobku albo w środku nocy odwoził go do siostry, czuł, że praca coraz bardziej mu ciąży.

- Za kilka lat Bailey pójdzie do szkoły i wtedy będzie ci lżej - pocieszała go Belinda.

Popatrzył na nią ze smutkiem.

- I tak upłyną bezpowrotnie jego szczenięce lata.

Był wdzięczny siostrze, że ograniczyła się do kiwnięcia głową. Bo mimo że zawsze mógł na nią liczyć, to miał tego zdecydowanie dosyć.

Wszedłszy do pomieszczeń przedszkola, ze smutkiem zauważył, że wyraźnie zmęczony Bailey leży na niskiej kanapie i ogląda kreskówkę, włączaną dzieciom, których rodzice pracowali dłużej. Bailey znał ją na pamięć.

Gdy wpisywał się do zeszytu wyjść, przypomniał sobie radość Emmy, że urodziła „miniaturowego Hamisha”. Mieli takie same ciemne włosy, takie same oczy i tak samo jasną karnację. Mimo to czasami w takich chwilach jak ta wołałby, by jego syn był bardziej podobny do matki, bo wówczas zostałaby na tym świecie jakaś częśćka jego pięknej Emmy, która podtrzymywałaby go na duchu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kto by pomyślał, że jest tyle odcieni bieli?

Stanąwszy przy drzwiach, z zachwytem patrzyła, jak chyląc się coraz niżej, promienie zachodzącego słońca grają bielą. Jak to możliwe, pomyślała, rozglądając się po wyziębionym pokoju skąpanym w słonecznym blasku. Zrobiła, co w jej mocy, by szybko i niedrogo uczynić go przytulnym. Biała narzuta na łóżku, białe firanki, wszystko w bieli. Ale skąd tyle odcieni?

Jednak to nie założenia kolorystyczne albo ich brak niepokoiły ją najbardziej. Spojrzawszy na budzik, zdała sobie sprawę, że lada chwila Hamish wróci z pracy.

Kiedy go dziś poznała, nawet jej się nie śniło, że jej wymarzony pokój będzie znajdował się w jego domu.

„Pracujący ojciec poszukuje opiekunki do dziecka w zamian za skromne mieszkanie. Dom poza miastem. Zwierzaki mile widziane. Kontakt: Belinda”.

Z nieba spadło jej to ogłoszenie. Z bijącym sercem zadzwoniła pod podany numer, a gdy Belinda oznajmiła, że jej menażeria nie stanowi najmniejszego problemu, ogarnęło ją błogie uczucie ulgi.

Musi być jakiś haczyk, pomyślała, wjeżdżając swoim gruchotem na farmę, gdzie miała spotkać się z Belindą. Oczami duszy już widziała, jak jej zwierzaki brykają i pasą się na soczystych zielonych łąkach.

Belinda przeprowadziła ją przez kuchnię połączoną z przestronnym pokojem i zaprosiła, by usiadła na kanapie, gdzie natychmiast wdrapał się jej na kolana rozkoszny dwuletni brzdąc.

Przecucia jej nie zawiodły. Jest haczyk! W pierwszych minutach rozmowy strzępy informacji, które zdążyła zebrać na oddziale, ułożyły się w zgrabną całość. Nie trzeba kończyć szkoły detektywów, by wiedzieć, że w okolicy nie ma wielu owdowiałych lekarzy o imieniu Hamish.

- Jego gosposia idzie do szpitala na rekonstrukcję kolana. Chwilowo mieszka u swojej siostrzenicy - mówiła Belinda. - I tak się złożyło, że akurat teraz otrzymałam propozycję pracy, której nie mogę odrzucić.

- Czy jednak wcześniej nie powinnam porozmawiać z Hamishem? - zaniepokoiła się Charlotte. - Jeżeli mam tu mieszkać i opiekować się jego dzieckiem...

- Jeżeli ja o tym nie pomyślę, to Bailey skończy osiemnaście lat, zanim mój brat znajdzie mu opiekunkę. Charlotte, kiedy dawałam to ogłoszenie, nawet mi się nie śniło, że trafię na osobę tak odpowiednią jak ty. Tylko popatrz na małego... - Uśmiechnęła się czule do bratanka, który podskakiwał na kolanach Charlotte, jakby znał ją od urodzenia. - Porozmawiam z Hamishem, ale najpierw mi powiedz, kiedy możesz się wprowadzić.

- Mieszkam w schronisku młodzieżowym. - Zaczzerwieniła się z obawy, czy samo to nie wystarczy, by zniweczyć jej szanse. - Dopóki czegoś nie znajdę.

- Wiesz co? - Belinda szeroko się uśmiechnęła. - Właśnie to znalazłaś.

Pomimo przekonania, że Belinda przychylnie nastroi Hamisha do jej kandydatury, poczuła gwałtowny ucisk w dołku, gdy usłyszała chrzęst żwiru na podjeździe. Jak ten powściągliwy Hamish Adams zareaguje na wiadomość, że siostra znalazła mu opiekunkę do dziecka, która pracuje w tym samym miejscu co on?

Ledwie żywa z niepokoju tak mocno przycisnęła pędzel, że biała farba popłynęła jej między palcami. Zerknęła do lustra. Co Cassie by zrobiła w takiej sytuacji?

To pytanie zadawała sobie dziesięć razy na dzień. Ilekroć czuła się nieswojo, nie wiedziała, jak rozegrać trudne sytuacje, usiłowała sobie wyobrazić, jak postąpiłaby jej siostra, starsza od niej o osiem i pół minuty. Najczęściej odpowiadała sobie w ten sam sposób: Cassie nic by sobie z tego nie robiła.

Od razu czuła ulgę. Cassie nawet by nie dostrzegła niezręczności sytuacji. Z szerokim uśmiechem wyszłaby mu na powitanie, nie przejmując się jego milczeniem.

I nie zapomniabyły się umalować!

Wytarła dłonie w sfatygowane dzinsy, by wyjąć z torby pomadkę i perfumy. Zrobiła głęboki wdech i z wysoko uniesioną głową wyszła z pokoju.

- Cześć, Hamish. - Schodziła po schodach uśmiechnięta, mimo że on, nie patrząc nawet w jej stronę, położył na podłodze laptopa, postawił tam torbę z zakupami i torbę z rzeczami Baileya, a na samym końcu synka. - Co za niespodzianka!

- Niespodzianka? - Nareszcie na nią spojrział. - To na tę rozmowę tak się spieszyłaś? - rzucił kwaśno.

- Chyba tak. - Zachowując zimną krew, zatrzyma-

la się parę stopni wyżej, przez co mogła nad nim górować. Dzięki Bogu malec od razu zabrał się do rozpakowywania swoich skarbów, bo nie mogłaby teraz spojrzeć Hamishowi w oczy. - Nie miałam wtedy pojęcia, że to z tobą będę...

- Mieszkać, pracować i opiekować się dzieckiem
- dokończył.

- Na początku może to być trochę krępujące. - Zawahała się, czując, że żadne słowa nie ocieplą atmosfery w holu. Tego lekko rozdrażnionego, ale serdecznego lekarza, którego poznała rano, dzieliły lata świetlne od faceta, który teraz spogląda na nią spode łba.

Perspektywa bezpiecznego schronienia dla jej zwierzątek oraz podreperowania finansów nagle zaczęła gwałtownie blednąć.

- Krępujące to mało powiedziane - burknął, ale widząc jej posmutniałą minę, postanowił się pohamować. - Nie mam do ciebie pretensji, ale uważam, że to nie wypali. - Chyba czytał w jej myślach. - Belinda powinna była najpierw się ze mną skonsultować. Czy już wiesz, kiedy przyjadą twoje konie?

Nie miała siły tego prostować.

- Kolega kupuje nowego konia gdzieś niedaleko stąd. Za dwa tygodnie. I po drodze przywiezie moje. Razem z resztą rzeczy. - Umilkła, bo poczuła, że za moment Hamish każe jej odwołać ten transport, ale uratował ją radosny pisk Baileya, który wyjął wszystkie rzeczy ze swojej torby i szukając nowej zabawki, dopiero teraz ją dostrzegł.

Tak się ucieszył, że nie wstał, tylko na czworakach pokonał cały hol i wyciągnął do niej rączki.

- Chyba cię lubi.

- Dlaczego miałyby mnie nie lubić? - Wzięła malca na rękę. - Jestem miła, nie bałaganę...

- Nie wątpię, że jesteś fantastyczna, ale nic z tego nie wyjdzie. Ludzie zaraz sobie pomyślą...

- Że to ognisty romans? - Tak zareagowałyby Cassie. - Zdaję sobie sprawę, że cię to denerwuje. Domyślam się, że od śmierci żony twoje życie prywatne wszystkich interesuje. Ale ja jestem bardzo dyskretna. - Chyba trochę go udobruchała. - Naprawdę. Jestem gadatliwa, ale nigdy, przenigdy nie poruszam spraw istotnych.

- Niezależnie od tego... Co to jest?! - Schodami szedł ukochany kot Charlotte. Mrugał zaspanymi ślepiami, wyraźnie zdziwiony nagłym zamieszaniem.

- To jest Maisy. Mój kotek.

- To nie jest kotek, to jest lew. On jest ogromny.

- Jest bardzo młody i jeszcze rośnie. Mama hodowała tę rasę. On był najmniejszy z ostatniego miotu.

Hamish przyjrzał się uważnie kotu.

- Maisy to chyba dziewczynskie imię.

- Bo na początku myślałam, że jest dziewczynką, ale imię pozostało.

- Wydawało mi się, że masz tylko dwa konie.

- Jednego konia i jednego kucyka. Koń nosi imię Fitz, a kucyk Scottie.

- Masz więcej zwierzaków, o których powinienem wiedzieć, oprócz konia, kucyka i kota, który cierpi na kryzys identyfikacji płciowej? - Westchnął zrezygnowany, bo z góry zbiegał cocker-spaniel.

- Jeszcze tylko Erie.

- Domyślam się, że Erie jest chłopcem.

- Oczywiście. Dlaczego miałabym dziewczynce

dać imię Erie? - Jej uśmiech zgasł, bo Hamish potrząsał głową. Czuła, że zaraz usłyszy to, czego za nic w świecie nie chciała usłyszeć.

- Może lepiej będzie, jak się wstrzymasz ze sprowadzaniem tych koni? - Świat jej się zawalił. - Nie wyrzucę cię na ulicę, ale...

- Ale nie chcesz, żebym za dobrze tu się poczuła.

- Otóż to.

- Spróbujmy. - Prośenie napawało ją obrzydzeniem, ale nie miała wyboru. - Zrozum, to musi wypalić.

- Dlaczego?

- Bo nie mam ani grosza - odrzekła zgodnie z prawdą. - Bo jak sam widzisz, mam na utrzymaniu cały zoolog. I po prostu nie zaryzykuję, rozpowiadając ludziom, że chrapiesz albo nie opuszczasz deski w kłozecie.

Czułość i nieufność zniknęły z jego spojrzenia, gdy Bailey z całej siły ścisnął ją za szyję, jednocześnie próbując wyartykułować jej imię.

- Dal-dot!

- Zdaje się, że zostałeś gwiazdą.

- A Bailey jest moją gwiazdeczką - odparła z prostotą. - Jest taki słodki...

Hamish ruszył w stronę kuchni.

- Muszę mu zrobić kolację. Aha, postaraj się, żeby twoje zwierzaki nie wchodziły na górę. Nie chcę, żeby ten lew dostał się do jego łóżeczka.

- Oczywiście. Kolacja jest już gotowa. Jagnięcina i ziemniaki.

Stała tuż za nim, gdy ze zdumieniem patrzył na starannie nakryty stół kuchenny z nieco wysłużonym

wysokim krzeselkiem na honorowym miejscu, które wcześniej zastała złożone pod ścianą.

- Elsie powiedziała, że zrobiła zapasy co najmniej na tydzień. Wstawię groszek do mikrofal, więc kolacja będzie za moment. Bailey lubi jagnięcinę, prawda?

- Nie jestem pewien. - Tym razem to Hamish był zakłopotany.

- Wiem od Elsie, że macie jagnięcinę w zamrażarce - wyjaśniła. Podczas gdy drżącymi rękami nakładała kolację na talerze, Hamish zмагаł się z Baileyem, usiłując wsadzić go do krzesła.

- To dla niego nowość - wyjaśnił, gdy postawiła przed chłopcem miseczkę zjedzeniem. - Jego kolacja to zazwyczaj paluszki rybne albo drobiowe z frytkami przy stoliku przy kanapie.

- Dla mnie to też nowość - wyznała. - Złożyłam to krzesło dopiero za piątym podejściem.

- Belinda mówi, że masz doświadczenie z dziećmi.

- Z chorymi dziećmi - uściśliła. Udawała, że nie widzi jego przerażenia. - Ale zdrowe, takie jak ten tu robaczek, to dla mnie wielka tajemnica. Będziemy zmuszeni sami jakoś to rozpracować, prawda, Bailey?

Chłopczyk tak się śmiał, gdy go połaskotała, że zapomniał zaprotestować przeciwko łyżeczce pełnej drobniutko pokrojonego mięsa, ziemniaków puree i sosu. Ucichł, gdy wraz z innymi biesiadnikami odkrył, że lubi jagnięcinę. Oraz że umie jeść bez pomocy taty albo Charlotte. Wyrwał jej łyżeczkę i niezgrabnie, za to z wielkim zapałem zaczął wpychać jedzenie do buzi.

- Na mięso czy na ziemniaki?

- Słucham?

Stała z garnkiem w ręce, podczas gdy on nie mógł oderwać zdumionego wzroku od syna.

- Lubisz sos na ziemniakach czy na mięsie?
- Obojętne.

Pomimo udanego początku była to najtrudniejsza kolacja w jej życiu. Trudniejsza od pierwszej randki i zdecydowanie trudniejsza od randek w ciemno.

Jej dodatkowym minusem było to, że Charlotte towarzyszyła świadomość, że jest nieproszonym gościem w domu Hamisha i że nie ma z nimi kelnerów ani innych biesiadników, którzy mogliby przełamać nieprzyjemne milczenie. Nawet Bailey ich zawiódł, przeżuwając w skupieniu mięso. Niedługo potem opuścił ten tonący okręt, zasypiając przy stole, z łyżeczką w jednej ręczce i paluchem drugiej w buzi.

Pierwszy poddał się Hamish.

- Jak to się stało, że nie masz gdzie trzymać tych zwierzaków? - zapytał.

- Mama przeprowadza się do Queenslandu - odparła.

- Dlaczego?

- Ma nowego przyjaciela. - Uśmiechnęła się, widząc jego ściągnięte brwi. - Niewiele starszego ode mnie.

- O rany.

- Ale jest z nim szczęśliwa.

- Lubisz go?

- Jeszcze go nie widziałam. - Wzruszyła ramionami. - Poznała go podczas wakacji, kilka miesięcy temu. Miłość od pierwszego wejrzenia. Podobno facet mieszka w luksusowym apartamencie z widokiem na ocean. Domyślam się, że nie ma tam miejsca dla zwierząt.

- Nie mogłaś dłużej zostać w rodzinnym domu?
- Tam nie było pracy. Miesiąc temu zamknięto miejscowy szpital. Mniej więcej w tym samym czasie mama mnie poinformowała, że się przeprowadza i sprzedaje dom. Teraz ja mam go zlikwidować. Sprzedała go w zeszłym tygodniu.

- Więc masz na głowie cały zwierzyńiec.

- Cały należy do mnie. - Uśmiechnęła się. - Nie mogę oczekiwać, że dla moich zwierzaków mama poświęci mężczyznę swojego życia.

- Chyba masz rację. - Wcale nie był o tym przekonany. Sprzedaż rodzinnego domu, przez co córka nie tylko musi szukać pracy, ale i schronienia dla swoich podopiecznych, wydała mu się posunięciem nieco egoistycznym, wręcz nieodpowiedzialnym. Charlotte jakby tego nie dostrzegą, a nawet życzyła matce jak najlepiej.

- A ojciec? - Jego zaciekawienie rosnęło.

- Odkąd od nas odszedł, widuję go bardzo rzadko - odparła rzeczowym tonem. - Miał romans, a właściwie dwa, ale z tą drugą związał się na stałe.

Być może brak poczucia odpowiedzialności cechuje wszystkich członków tej rodziny!

Patrząc na nią, zastanawiał się, ile może mieć lat. Dwadzieścia cztery albo pięć, pomyślał, ale sądząc po tym, jak rozmawiała z Andym, oraz tym, co usłyszał od Helen, nie miała lekko. Mimo to trzymała się rodzinnego domu i nie miała żadnych oszczędności, a teraz zamieszkała w schronisku młodzieżowym i jeździ kompletnie zdezelowanym autem. Czy wybrałby taką osobę na opiekunkę Bailey'a?

Tak!

Ta odpowiedź padła, nim skończył zadawać sobie to pytanie. Przed oczami stanęła mu scena w izbie przyjęć, kiedy był świadkiem, z jaką czułością rozmawiała z cierpiącym dzieckiem. Nie tylko Andy był w nią wpatrzony jak w obraz, Bailey również wpadł w zachwyt na jej widok, i to wcale nie dlatego, że przywykł do obcych. Pomimo ciągle zmieniających się opiekunek mały czuł, że każda nowa twarz łączy się z rozstaniem z ojcem.

Zupełnie inaczej było, gdy ujrzał Charlotte. Ta kobieta od pierwszej chwili zdobyła jego zaufanie.

- Jesteś sama? - Mocniej zacisnęła palce na szklance z wodą. - Nie masz braci ani sióstr, którzy by ci pomogli?

To drugie pytanie ułatwiło jej szczerą odpowiedź, w pewnym sensie...

- Nie.

Mimo że upłynęło już trzynaście lat, nadal nie wiedziała, komu może opowiedzieć o Cassie. Nawet po tylu latach nie potrafiła spokojnie o niej mówić.

Jak to powiedzieć?

Miałam siostrę bliźniaczkę? Moja siostra umarła w wieku piętnastu lat? Jak to ująć? Dla Charlotte był to wielki problem. Jak włączyć coś tak cennego do i tak już trudnej rozmowy? Łatwiej to przemilczeć.

Przyglądał się jej, szukając powodów, by jej nie lubić. Daremnie.

- Powinniśmy ustalić jakieś reguły - oznajmił. - Prawdę mówiąc, cały regulamin.

- Jasne.

- Jeśli ten eksperyment ma się udać, to musimy iść na wiele ustępstw. Z obu stron.

- To zrozumiały.
 - Pierwsza zasada: jeździsz jeepem.
 - Słucham?
 - Drogi tutaj mają fatalną nawierzchnię, więc jazda jeepem jest o wiele bardziej bezpieczna.
 - Umieję prowadzić samochód...
 - Nie interesuje mnie, jak dobrym jesteś kierowcą. Nie będziesz wozić Bailey'a tym gruchotem. A ponieważ twoja rola ma polegać głównie na odwożeniu i przywożeniu mojego syna, masz jeździć jeepem.
 - Nie mam nic przeciwko takiej zasadzie. - Uśmiechnęła się. To żadne wyrzeczenie, wręcz błogosławieństwo, tym bardziej że jej auto ma kompletne łyse opony. Wygląda na to, że Hamish jej nie oddali. To znaczy, że teraz ona powinna czegoś o nim się dowiedzieć. - Jak ty sobie radzisz z tym wszystkim?
 - Złagodziła bezpośredniość tego pytania nutą współczucia.
 - Słucham?
 - Wiem od Belindy, że twoją żoną zmarła, kiedy Bailey miał pół roku. Zastanawiałam się, jak godzisz tak odpowiedzialną pracę z wychowywaniem małego.
- Zaskoczyło go to pytanie, bo chociaż upłynęło już półtora roku, nikt go o to nie zapytał.
- „Nie mam pojęcia, jak pan sobie z tym radzi!” - takie sformułowanie słyszał praktycznie codziennie. I zaraz potem to irytujące: „Na pana miejscu nie dałbym sobie rady.” Przecież on nie ma wyboru, musi sobie radzić. Oczywiście pomagała mu siostra oraz gosposia, ale takie pytanie w ustach osoby, którą poznał ledwie dwanaście godzin wcześniej, odebrał jako wyzwanie, lecz, o dziwo, całkiem nowe.

- Z trudem - wyznał. - Obydwa te zajęcia wymagają ode mnie więcej, niż mogę z siebie dać.

Jakoś przeszło mu to przez gardło! Uprzytomnił sobie, że przyznał się drugiemu człowiekowi do tego, o czym sam nie chciał myśleć. Wcale nie dlatego, że oczekiwał od niej odpowiedzi albo chciał rozwinąć temat. Taka pogawędka z kimś dorosłym po długim dniu pracy najzwyczajniej w świecie sprawiała mu przyjemność.

- Małego nie możesz zaniedbywać, więc pozostaje pytanie, co z pracą. - Zgarniała resztki sosu z talerza.

- Brałeś pod uwagę możliwość zmiany?

- Na co?

- Zastanowię się nad tym. - Uśmiechnęła się, jakby wyczuwała, co go gnębi. Na ułamek sekundy przestała być osobą obcą, kolejnym koniecznym intruzem w chaosie, jaki zapanował w jego życiu po tragicznej śmierci Emmy.

Donośny brzęk łyżeczki, która wysunęła się Baileyowi z rączki, przerwał tę magiczną chwilę.

- Szkoda go budzić na kąpiel - mruknął Hamish, zdumiony procesami myślowymi zachodzącymi w jego głowie. Należałoby jak najszybciej je przerwać. - Rano nie będę miał na to czasu, ale nie mogę wysłać go do żłobka z włosami upapranymi sosem.

- Niech zostanie w domu. - Wzruszyła ramionami.

- Będzie mi asystował przy malowaniu.

- Hm, dwulatek i farby to nie najlepsze połączenie. Poza tym to o wiele więcej niż siedzenie przy nim. Co więcej, jutro masz wolny dzień.

- No to co? Będę miała okazję z nim się zaprzyjaźnić.

- Ale... - Czuł się skrępowany tym, że prosi o pomoc. - Jutro w nocy mam dyżur pod telefonem. Liczyłem, że skoro mamy spróbować... Jeżeli wieczorem nigdzie nie wychodzisz, to może być mogła czuwać, czy się nie obudzi. Nie obiecuję, że będzie spał jak kamień, bo akurat ząbkuje. Z drugiej strony, może nie być żadnego wezwania.

- Nie ma sprawy. Jak będziesz wyjeżdżał, to do mnie zapukaj. Będę nasłuchiwać.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście.

- Dzięki. - Bardzo ostrożnie wyjął śpiącego chłopczyka z krzesełka. - Wykapię go. Jeżeli jesteś skłonna czuwać jutro w nocy...

- Hamish - weszła mu w słowo - jeżeli mam jutro do niego wstawać, to obojgu wyjdzie nam na dobre, jeżeli razem spędzimy cały dzień. Już się na to cieszę.

Chciał zaprotestować, ale wyczuwając, jak Bailey jest zmęczony, intuicyjnie rozumiał, że należy dziecko jak najszybciej położyć do łóżeczka i pozwolić mu spokojnie spać. Ruszył na górę, prosto do dziecięcego pokoju.

Spoglądając na jego umorusaną ziemniakami i uśmiechniętą buzię, pomyślał, że następnego dnia nie będzie musiał budzić go o świcie, by zdążyć do pracy. Powinien wrócić do kuchni, aby podziękować Charlotte za tak wspaniałomyślną propozycję.

- Serdeczne dzięki - wyrwało mu się, nim dotarł na górę. - Jestem pewien, że Bailey będzie zachwycony.

- Nie ma sprawy. Dogadamy się. Dobranoc. - Promieniowała.

- Ty też już idziesz spać? - Popatrzył na zegarek.
- Dopiero wpół do ósmej.

- Jestem na nogach od dwudziestu czterech godzin. Gdybyś wyjeżdżał, zapukaj do mnie i otwórz drzwi, żebym go usłyszała - przypomniała mu. - Ty zmywasz naczynia. Ja gotowałam, więc ty zmywasz. Zasada numer dwa.

- Okej. Dobranoc. Śpij dobrze.

Kiedy rano żegnał ją tymi samymi słowami, nawet mu przez myśl nie przeszło, że powtórzy je dwanaście godzin później. I nie wyobrażał sobie, że wieczorem przyjdzie mu zmywać naczynia. Normalnie we dwóch brudzili tylko dwa talerze.

Do tej pory samo ładowanie zmywarki wydawało mu się wyczynem ponad miarę. Zawsze miał pełne ręce roboty: papiery przyniesione do domu, karmienie i kąpanie Bailey'a, pakowanie jego rzeczy na następny dzień. Zmywanie naczyń zazwyczaj zostawiał Elsie albo odkładał do rana. Ale tego wieczoru zmywarka pracowała już o ósmej, a Bailey spał jak kamień. Okazało się, że nie ma nic do zrobienia.

- Hamish... - Aż podskoczył, gdy Charlotte stanęła w drzwiach. Odwrócił się i skamieniał, bo jego uwagę przykuło jej nagie ramię, z którego zsunęło się ramiączko nocnej koszuli. - Możesz uczyć.

- O czym ty mówisz?

- O nauczaniu medycyny. Możesz prowadzić wykłady dla studentów. Nikt nie będzie cię wzywał w środku nocy, będziesz miał ferie i długie wakacje, co może teraz nie jest takie ważne, ale za kilka lat... - Patrzył na nią, jakby spadła z księżycy, więc się zorientowała, że nie wie, do czego nawiązała. - Podczas kolacji roz-

mawialiśmy o tym, że powinieneś zmienić pracę na bardziej przyjazną dla Bailey'a.

- Ach tak. - Podrapał się w głowę. - Nie lubię uczyć. Nie wiem, czy potrafię wykrzesać z siebie tyle cierpliwości, ale owszem, warto się nad tym zastanowić.

- Tak mi przyszło do głowy. - Zniknęła w korytarzu, ale nie przestała mówić. - Jeszcze nad tym pomyślę. Na pewno coś znajdę.

- Dzięki.

Studenci? Kiedy zwierzył się jej z tego problemu, wcale nie oczekiwał, że znajdzie rozwiązanie, i to niezłe. Nie widział się wprawdzie w roli wykładowcy, ale weźmie to pod uwagę.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy, nie wiedząc, co zrobić z wolnym czasem, zajrzał do programu telewizyjnego, ale podejrzewając, że w nocy Bailey go obudzi, wziął prysznic i nieprzychylnie wcześniej poszedł do łóżka. Całkiem przytomny obudził się około drugiej, kiedy jego synowi nie dały spać wyrzynające się zęby.

Stąpając na palcach pod drzwiami Charlotte, z dłonią na ustach ryczącego Bailey'a, wszystkimi zmysłami wyczuwał jej obecność. Dał małemu coś zimnego do picia, przewinał go, po czym próbował utulić do snu. Nie mógł oprzeć się pokusie, by przysiąc na kanapie i, spoglądając w mrok, zastanowić się nad tym, jak zmieniło się jego życie, od kiedy dwanaście godzin wcześniej wkroczyła w nie Charlotte Porter.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nie minęło kilka dni, a pokój gościnny był odmalowany, kanapa zaanektowana przez psa i kota, półka nad umywalką w łazience zastawiona kosmetykami. Ale najtrudniej było Hamishowi ignorować kolorowe figi, które dzień w dzień powiewały na suszarce widocznej przez okno w kuchni, gdzie nieprzerwanie grało radio.

Charlotte zainstalowała się na dobre.

- Charlotte...

Zaspana włączyła nocną lampkę i czekała, aż drzwi się otworzą i ukaże się w nich Hamish, ale on przemówił z głębi korytarza.

- Przepraszam, że cię budzę, ale muszę jechać do szpitala.

- Drobiazg. - Ziewnęła. - Będę czuwała i wstanę, jak mały się obudzi.

- Mamy problem, bo on od godziny już nie śpi. - Jak na dany znak Bailey zapłakał. - To nie jest pilne wezwanie, nie musisz się spieszyć...

- Nie ma sprawy.

Chwilę później zjawiła się w kuchni ubrana tylko w cienką koszulę nocną, ze szwem poduszki odcisniętym na policzku. Zamrugała na widok bałaganu, który tam zapanował podczas jej całkiem krótkiej nie-

obecności - na podłodze walały się rzeczy Bailey'a, a stół był zastawiony jego butelkami i kubeczkami.

- Ząb mu się wyrzyna - wyjaśnił Hamish, chodząc po kuchni w kółko z Bailey'em na rękach. - Gdyby nie to, spałby jak aniołek. Jak nie ząbkuje, przesypia całą noc. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

- O bolące dziąsła. Biedactwo... - Wyciągnęła do chłopczyka ręce, a on przestał płakać, ale trochę zawstydzonym, trochę kokieteryjnym gestem wtulił buzię w ojca.

- Nie musiałaś tak się spieszyć. - Kaszlnął, by pokryć zmieszanie, w jakie wprawił go jej niecodzienny strój. - Wróc po szlafrok, a ja przez ten czas zrobię ci kawę.

- Nie mam szlafroka... - Ziewnęła. - I nie chcę kawy, bo nie zasnę.

- O to właśnie chodzi - mruknął z jednej strony lekko urażony, z drugiej zadowolony, gdy w końcu Bailey skorzystał z zaproszenia Charlotte i bez protestów opuścił jego ramiona. - Jesteś pewna, że sobie poradzisz? W razie czego dzwoń na moją komórkę albo do Belindy. Jej numer jest na lodówce.

- Próbowałeś dać mu lod??

- Słucham?

- Żeby przestało go boleć. - Wpatrywała się w niespokojnego malca.

- To pomaga?

- Nie wiem-przyznała.-Ale myślę, że to logiczne.

Gdy wychodził, siedzieli na kanapie i oboje lizali lody cytrynowe. Chyba, pomyślał, nie jest to pozbawione sensu. Za to jego myśli w drodze do szpitala były kompletnie niedorzeczne.

Ma trzydzieści pięć lat, dziecko, hipotekę oraz bardzo odpowiedzialną i wyczerpującą pracę. Kobiecie tak energicznej jak Charlotte nawet nie przyjdzie do głowy... Żeby powstrzymać się od kontynuowania tak ryzykownego wątku, zadzwonił do szpitala, by z lekarzem dyżurnym porozmawiać o nowym przypadku.

Pomimo krótkiego stażu młody lekarz odniósł wrażenie, że trzydziestoletni pacjent symuluje w celu wyłudzenia pewnych leków.

- Chyba go znam - stwierdził Hamish. - Już miałem z nim do czynienia. Powiedz mu, że zanim cokolwiek mu zaaplikujesz, musisz zasięgnąć drugiej opinii. Będę u was za pięć minut.

Mężczyźnie wystarczyło spojrzeć na znajomą i wcale nie współczującą twarz Hamisha, by się zorientować, że jego podstęp spalił na panewce. Zeskoczył z łóżka, klnąc pod nosem, błyskawicznie się ubrał i wypadł z izby przyjęć. Hamish nie odezwał się ani słowem.

- Przepraszam, że wyciągnąłem cię z łóżka - kajał się Cameron. - Podał inne nazwisko, więc nie miałem pojęcia, że go znasz.

- Badałem go wielokrotnie. Nie musisz się tłumaczyć. Wykazałeś się wielką czujnością, podejrzewając, że łże. Raz dałem mu się nabrać.

- Naprawdę? - zapytał młody lekarz, nie kryjąc zdumienia. Doktor Adams podobno jest nieomylny...

- No, prawie. Czy jeszcze mnie potrzebujesz, czy mogę jechać do domu?

- Nie, możesz jechać. Na razie nic się nie dzieje. Mam nadzieję, że już nie będę cię budził.

- Bailey ząbkuje, więc to nie ty mnie zbudzisz.
A jednak tym razem się pomylił...

Wchodził do domu, spodziewając się usłyszeć histeryczny wrzask Baileya, ale gdy wszedł do kuchni, osłupiał. W trakcie jego krótkiej nieobecności krasnoludki doprowadziły ją do niemal idealnego porządku! Torba Baileya była spakowana, a kubeczki i butelki ustawione na suszarce. Jednak największą niespodzianką okazała się panująca w całym domu błoga cisza.

„Dzień się obowiązkami!!!”

W oczu rzucił mu się napis na tablicy, najnowszym narzędziu komunikacji zainstalowanym przez Charlotte, która zasypywała go coraz to nowymi pomysłami, jak mógłby ułatwić sobie życie samotnego ojca. Przeróżne rzeczy przychodziły jej do głowy. Napomknęła nawet, że mógłby awansować lub się zniżyć, to zależy od punktu widzenia, do objęcia wysokiego stanowiska w administracji służby zdrowia.

Tak, Charlotte ma rację. Powinien częściej dzielić się obowiązkami. Szpital ma trzech ordynatorów, więc dlaczego w nagłych sytuacjach wszyscy wzywają akurat jego? Znał odpowiedź.

Sięgnął po kredę.

„Próbowałem, ale nikt nie zrobi tego tak dobrze jak ja” - napisał, po czym zmienił zdanie, uznawszy, że może to być źle zrozumiane, nawet uznane za dwuznaczne.

Starannie starł wyraz „tego”, a na to miejsce wpisał „mojej roboty”, po czym ruszył na górę. Po drodze do pokoju dziecinnego minął lekko uchylone drzwi do sypialni Charlotte.

Zadumał się, stojąc nad łóżeczkiem synka. Kiedy wyjeżdżał, maluch był czerwony od płaczu, za to teraz na jego buzi malował się anielski spokój. Z ogromną ulgą, uczuciem znanym wyłącznie zaganianym rodzicom, poczuł, że chyba nareszcie zazna paru godzin spokojnego snu. Ale to nie Bailey'a miał na myśli.

Nie rozbierając się, na wypadek gdyby jednak znowu go wezwano, położył się do łóżka, ale tym razem się przykrył, po czym zapadł w błogi sen.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Kiedy go przywiozą?

Wpadł na reanimację mocno zdyszany, bo biegł aż ze żłobka, skąd wywołano go pagerem, i natychmiast zaczął zdejmować ze ściany potrzebną aparaturę.

- Za dwie minuty - odparła Charlotte, nie podnosząc spojrzenia znad leków, które przygotowywała w oczekiwaniu na pacjenta.

Mężczyzna porażony prądem już znajdował się w karetce. Wszyscy zwijali się jak w ukropie, by udzielić pomocy nieszczęśnikowi, gdy tylko znajdzie się w sali.

- Co o nim wiemy?

- Mężczyzna, lat dwadzieścia osiem, zatrzymanie akcji serca. Porażenie prądem. Jego ojciec robił mu masaż serca. Intubowany na miejscu przez ratowników.

- Jak długo jest nieprzytomny?

- Minęło czterdzieści minut, od chwili kiedy tam dojechaliśmy - oznajmił ratownik.

Czerwony z wysiłku jedną ręką pracowicie wentylował pacjenta za pomocą workaambu, podczas gdy jego partner niemal biegiem pchał nosze. Cameron, rezydent, już wykonywał masaż serca.

- Vince, jego ojciec, był na miejscu wypadku, ale trudno się z nim dogadać. Pacjent nie reaguje na leki ani defibrylację. Migotanie komór.

- Znamy jego nazwisko?
- Ronan King.
- Cameron, nie przerywaj masażu, dopóki nie uruchomimy aparatury. - Hamish przyłączył worek ambu do źródła tlenu, po czym stetoskopem nasłuchiwał przepływ powietrza. Chwilę później przekazał obsługę worka Amy, drugiej pielęgniarki. Charlotte w tym czasie włączała aparaturę, a pozostali rozcinali ubranie pacjenta.

W pewnej chwili jedna z pielęgniarek zwróciła uwagę Hamisha na poparzone stopy mężczyzny.

- Saturacja dziewięćdziesiąt cztery procent - zameldowała Charlotte, której zadaniem było przekazywanie wszystkich informacji wyświetlanych na monitorach oraz napełnianie strzykawkami lekami.

Zostawiała je w ampułkach, aby nie doszło do pomyłki, a jednocześnie by w każdej chwili można było podać je lekarzowi.

- Dobra robota, panowie.

Tak wysokie nasycenie krwi tlenem w tak dramatycznej sytuacji napawało Hamisha nadzieją. Była to niewątpliwie zasługa ratowników, bo na los tego młodego człowieka bardzo istotny wpływ miało to, co działo się, nim dotarł do szpitala. Wiedzieli o tym wszyscy, ale ratownicy nawet nie mieli czasu przyjąć tej pochwały, ponieważ radiotelefon już ich wzywał do nowego wypadku.

- Źrenice nieruchome, rozszerzone - stwierdził Hamish, jednocześnie przytakując, gdy ratownicy pośpiesznie wyliczali podane przez nich leki.

Nieruchome i rozszerzone źrenice mogą być niepokojącym objawem uszkodzenia mózgu, z drugiej

jednak strony atropina, silny lek kardiologiczny, którą podano Kingowi, daje takie same objawy, więc na razie tę najgorszą ewentualność odsunął na bok.

- Przerwij masaż - zwrócił się do Camerona. - Zorientujmy się w sytuacji.

Wpatrywał się w monitor z ręką przy szyi pacjenta, by wyczuć coraz słabsze tętno w tętnicy szyjnej, w miarę jak na monitorze nasilał się obraz migotania komór. Gdy masaż trwał, serce reagowało prawidłowo, ale gdy zostawiano je samemu sobie, na monitorze pojawiała się postrzępiona linia. Sytuacja była bardzo trudna, ale nie beznadziejna.

Fakt, że serce wykazywało jakąkolwiek aktywność, oznaczał, że należy kontynuować zabiegi reanimacyjne. Cameron ponownie przystąpił do masażu serca, a Hamish poprosił o silniejsze leki.

- Oczekajmy minutę, aż zaczną działać... - Teraz sięgnął po defibrylator. - 360 dżuli...

Nie wystarczyło jedno wyładowanie. Po nim nastąpiły kolejne, aż w sali zaczął się unosić swąd palonego ciała. W miarę upływu czasu Hamish oraz reszta zespołu zaczęli się zastanawiać, jak długo powinno to jeszcze potrwać.

- Co powiedział jego ojciec? Dokładnie - mruknął Hamish pod adresem Camerona. - Tylko mi nie mów, co ci się wydaje! Ile czasu zajęło mu dobiegnięcie do syna?

Poznał już kilka wersji: ratownikom ojciec powiedział, że do wypadku doszło, gdy skończyli dojenie oraz że od razu wyłączył zasilanie. Ratownicy potwierdzili, że prąd był wyłączony. Bez wyjaśnienia pozostało pytanie, ile czasu zajęło ojcu wyłączenie

prądu i dobiegnięcie do syna. Ratownicy nie mogli udzielić dodatkowych informacji, bo już wybiegli z sali. Amy z kolei przyszła z wieścią, że zapłakany ojciec wyznał, że to on włączył bezpiecznik. Na koniec Cameron przyniósł kolejną sprzeczną wiadomość.

- Nikt nam nie podziękuje, jeśli temu nieszczęśliwemu przyjdzie resztę życia spędzić w domu opieki! Muszę się dowiedzieć, jak było naprawdę! - warknął rozdrażniony. - Gdzie jest Helen?

- Na zebraniu dyrekcji - odparła spłoszona Amy.

Hamish rozglądał się, kogo wysłać na kolejną rozmowę z ojcem pacjenta, aż nagle doznał olśnienia. Oprócz niego i nieobecnej Helen najbardziej odpowiedzialną osobą jest Charlotte.

Z każdą próbą defibrylacji napięcie w sali rosło, tym bardziej że tego ranka Hamishowi przyszło pracować z bardzo młodym zespołem. Ale Charlotte, ta szalona i beztrocka Charlotte, nie tracąc zimnej krwi, podawała mu leki, przytomnie obserwowała wskazania aparatury, bez zająknięcia informowała go o wszystkim, co się dzieje.

- Charlotte, wyciągnij od niego jakieś sensowne informacje. Jak najszybciej.

Puściła się biegiem do pokoju, w którym czekał pan King. Jak można było się spodziewać, odchodził od zmysłów. Oddychał tak szybko, że był na granicy hiperwentylacji.

- Charlotte Porter - przedstawiła się. - Jestem jedną z pielęgniarek opiekujących się pańskim synem.

- Co z nim?

- Jego stan jest bardzo ciężki - odrzekła zgodnie z prawdą. - W dalszym ciągu dokładamy wszelkich

starań, żeby pobudzić jego serce. Potrzebujemy od pana więcej informacji.

- Już wszystko powiedziałem. Dlaczego, cholera, zadajecie mi pytania, zamiast go ratować?! - Słyszała strach w jego głosie, więc tym bardziej skoncentrowała się na swoim zadaniu.

- Musimy wyjaśnić kilka kwestii, żeby wiedzieć, jak mu pomóc. Usiądźmy i porozmawiajmy. Wiem, że to bardzo trudne, ale istotny jest każdy szczegół.

- Mężczyzna powoli się uspokajał. Uznał zapewne, że ta nieznajoma wie lepiej. - Skończyliście doić krowy, tak?

- Ładowałem bańki na ciężarówkę, a Ronan coś naprawiał w oborze. - Próbowała to sobie wyobrazić, co przyszło jej całkiem łatwo, ponieważ jej dziadkowie mieli farmę mleczną.

- Jak daleko był pan od obory?

- Dwieście metrów, może nawet mniej.

- I co się wtedy stało?

- Usłyszałem łoskot. Stałem na drabinie przy samochodzie, a jak się odwróciłem, zobaczyłem, że w oborze zgasło światło. Od razu wiedziałem dlaczego.

- I co pan zrobił?

- Pobiegłem tam. Wiem, że należało wyłączyć zasilanie, ale się nie zatrzymałem. Pomyślałem, że mam gumowce... - Oboje zdawali sobie sprawę z ryzyka, ale górę wziął strach oraz instynkt nakazujący mu ratować syna niezależnie od konsekwencji. - Od razu zacząłem go reanimować. W zeszłym roku zostałem instruktorem pierwszej pomocy.

- Kto wyłączył prąd? - zapytała. - Był wyłączony, kiedy przyjechali ratownicy.

- Kierowca ciężarówki. Widział, co się stało i pobiegł za mną. Nie chciałem, żeby ryzykował. Kazałem mu wracać.

Nie czekała na więcej informacji. Z ręką na kłamce zadała ostatnie pytanie:

- Ile czasu zajęło panu dobiegnięcie do syna?

- Myślę, że mniej niż minutę - wykrztusił. - Siostror, ratujcie go. Niech pani powie lekarzom, że nie wolno im się poddać!

Zawahała się.

- Nie poddamy się bez pana wiedzy - obiecała.

- Minuta! - Z tym okrzykiem wpadła do sali. - Zanim ojciec zaczął go reanimować, upłynęła nie więcej niż minuta. Poza tym ojciec niedawno zaliczył kurs pierwszej pomocy.

Kolejne leki, kolejne wyładowania. Charlotte zdała dokładną relację z przebiegu rozmowy z panem Kingiem, ale Hamish jej nie słuchał. Miał już pewność, że zabiegi reanimacyjne należy kontynuować.

- Przyrzekłam mu, że jeżeli będziemy zmuszeni się poddać, wcześniej ktoś z nim porozmawia. - Czekwała na jego reakcję. Reanimacja osoby bliskiej to bardzo przykry widok dla rodziny, ale czasami wypada ich zapytać, czy chcą to zobaczyć, by zrozumieli, że medycyna jest już bezradna. Była przekonana że pan King chciałby sam podjąć taką decyzję.

- Nie ma sprawy. - Hamish kiwnął głową. - Wracamy do pracy.

Cameron już ułożył dłonie do masażu, gdy Hamish go powstrzymał. Cały zespół zamarł w oczekiwaniu, a on w napięciu wpatrywał się w ekran. Po chwili

ucisnął tętnicę szyjną, po czym ujął nadgarstek pacjenta.

- Tętno na tętnicy promieniowej. Ciśnienie krwi?

- Sześćdziesiąt - odparła Charlotte, z zapartym tchem wpatrując się w ekran.

- Mamy go. - Hamish z aprobatą popatrzył na swój zespół. - Przynajmniej na razie. Czy na oiomie jest wolne łóżko?

- Nie ma - odezwał się anestezjolog, spoglądając na pager. Na oddziale intensywnej opieki ktoś właśnie przegrał walkę o życie. - Odwołuję, co przed chwilą powiedziałem. Jest łóżko! Facet ma niesamowite szczęście.

Charlotte i Hamish szli do pokoju, w którym czekał ojciec pacjenta. Mimo że rokowania co do losu Ronana były bardzo niepewne, sytuacja wyglądała o wiele lepiej.

- Przedstawię mu ją w czarnych barwach. - Już pod drzwiami Hamish chwycił ją za ramię. - Nie wtrącaj się, jeżeli zabrzmi to bardzo szorstko. Tak ma być.

- Dobrze.

- Dobrze? - Zdziwiła go jej zwięzła odpowiedź. Charlotte w ogóle się nie przejęła tym, że idą rozmawiać ze zrozpaczonym ojcem pacjenta w ciężkim stanie. Pomyślał, że owszem, ma spore doświadczenie, ale przekazywanie rodzinie złych wiadomości nigdy nie jest łatwe.

Nawet na niego nie patrzyła. Wpatrywała się za to w swoje ramię, przyglądając się uważnie każdemu pieprzykowi i piegowi, jasnej skórze, na której pojawiły się czerwone plamy, mimo że wcale nie ścisnął go tak mocno. Był to ich pierwszy kontakt fizyczny.

Uprzytomniła sobie nagle, że od czterech dni mieszkają pod jednym dachem, razem spożywają posiłki, rozmawiają, wymieniają się przy Baileyu, ale dopiero teraz się dotknęli.

- To może nie być łatwe - ostrzegł ją. - Chciałem tylko mieć pewność, że będziemy trzymali jeden front.

- Prawdopodobnie jego syn umrze - odparła, odrywając wzrok od ramienia. - Albo jeszcze gorzej. Może się okazać, że doszło do uszkodzenia mózgu. Nie, nie denerwuj się, nie powiem mu, że pora na szampana.

- W porządku. - Odetchnął. - Wchodzimy.

- Co z nim? - Pan King przemierzał pokój niczym zwierz w klatce. - Charlotte, co się dzieje?

- Niech pan usiądzie. - Jej stanowczy ton zmusił go do posłuszeństwa. Hamish natomiast poczuł, że tymi trzema słowami przygotowała mu grunt.

Nie paplając entuzjastycznie, że serce Ronana podjęło pracę, przygotowała Kinga na jego zgon. Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach, czekając na słowa, których nie chciałby usłyszeć żaden rodzic.

- Stan pańskiego syna jest bardzo ciężki. - Hamish usiadł na wprost Kinga. - Jego serce bardzo długo nie podejmowało samodzielnej pracy.

- Ale teraz bije?

- Tak. Syn jest intubowany. Staramy się go ustabilizować na tyle, żeby można było przewieźć go na oiom. Mimo to muszę pana ostrzec...

- Że mogło dojść do uszkodzenia mózgu?

- Tego obawiamy się najbardziej.

- Doktorze, ja natychmiast przystąpiłem do działania. Mówiłem już Charlotte, że jestem instruktorem

pierwszej pomocy. - Rzucił jej błagalne spojrzenie. -
Wiem, jak to się robi.

- Zachował się pan bardzo przytomnie - odparła.
Uczestników dramatycznych sytuacji błyskawicznie
łączy szczególna więź. Tak było i tym razem. Hamish
milczał, wyczuwając instynktownie, że pan King chce
wysłuchać także opinii Charlotte. - Nic więcej nie
mógł pan dla niego zrobić. Dał mu pan wielką szansę
w skrajnej sytuacji. Ale reanimacja trwała bardzo
długo i uszkodzenie mózgu jest bardzo prawdopodo-
bne.

- Co jeszcze pan doktor miał na myśli? - King
nadal nie spuszczał z niej wzroku, ale Hamish czuł, że
na to pytanie sam potrafi odpowiedzieć.

Jednak Charlotte go ubiegła.

- Pański syn może umrzeć.

Nagle Hamish ponownie znalazł się na oddziale
intensywnej opieki medycznej: siedział w podobnym
do tego pokoju i wsłuchiwał się w słowa Neda.

- Hamish, weź ją za rękę i mów do niej.

- Czy ona mnie usłyszy?

- Tak myślę.

- Czy jest szansa...?

- Zawsze jest jakaś szansa. - Ned wahał się dłu-
szą chwilę. - Tam, gdzie jest życie, jest szansa.

Ściskając dłoń Emmy, powtarzał sobie te słowa,
pocałunkami, słowami i łzami błagał ją, by żyła, bo
neurochirurg powiedział, że jest nadzieja, a on wie, co
mówi. Ale nadzieja zgasła.

Ujrzawszy obraz ultrasonograficzny jej mózgu,
Ned już wiedział, że tę piękną, pełną radości życia
kobietę przy życiu utrzymuje wyłącznie maszyna pom-

pująca powietrze do jej płuc, że jej mózg przemienił się w galaretę. Gdy to do niego dotarło, Hamish miał ochotę Neda zamordować w rewanżu za te koszmarnie godziny, kiedy wierzył, że Emma do niego wróci, że Bailey będzie dorastał pod okiem matki, za to, że Ned go oszczędzał, ukrywając przed nim prawdę.

Pan King miał dużo szczęścia, chociaż zapewne nie zdawał sobie z tego sprawy.

Przez dobrą minutę panowało milczenie, gdy obaj mężczyźni pogrążyli się w myślach, podczas gdy Charlotte cierpliwie czekała.

Pierwszy odezwał się pan King.

- Czy jest jeszcze choć odrobinę nadziei?

- To się niedługo okaże - odparł dyplomatycznie Hamish.

Ronan mimo bardzo poważnego zagrożenia życia miał zdecydowanie większe szanse niż Emma, ale jego serce mogło i tak w każdej chwili stanąć.

- Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście. - Hamish wstał, by zaprowadzić pana Kinga do syna. - Ale kiedy poprosimy, żeby odszedł pan od łóżka...

- Doktorze, nie będę wam przeszkadzał. Zdaję sobie sprawę, że teraz wy jesteście mu potrzebni.

Niespodziewanie dla samego siebie Hamish zrobił coś, czego jeszcze nigdy nie zrobił, nawet przed śmiercią Emmy, nim jego serce przemieniło się w sopel lodu. Gdy dotarli do łóżka Ronana, położył dłoń na ramieniu ojca, gdy ten wpatrywał się w bezwładne ciało. W ten sposób dał mu część siebie, tę, która nie była lekarzem.

- Wiem, że jest panu bardzo ciężko - powiedział.

- Dziękuję - szepnął pan King. - Za wsparcie.
- Jak już wspomniałem - Hamish podjął wywód - te rany to zaledwie czubek góry lodowej. - Wskazał na zwęgloną skórę stóp pacjenta, po czym ujął jego bezwładną rękę. - Prąd wtargnął tędy, przebiegł przez całe ciało i wydostał się na zewnątrz przez stopy. - Schylił się, by spod łóżka wyjąć gumiaci Ronana i pokazać zebrany dwie dziury w podeszwach. - Skoro tak wyglądają gumiaci, to możecie sobie wyobrazić, co stało się z nerwami, żyłami i tętnicami...

- Oiom przygotowany na przyjęcie Ronana - zameldowała przez drzwi Charlotte.

Hamish skinął głową i wszyscy się rozeszli. Odczekał, aż Charlotte przygotuje pacjenta do przeprowadzki, po czym po raz drugi dotknął jej ramienia. Delikatnie odciągnął ją na bok.

- Jesteś bardzo dobrym nauczycielem.

- Dzięki. - Uśmiechnął się blado. - Charlotte, dobrze się czujesz?

- Bardzo dobrze - odrzekła. - Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać przerwy na kawę, ale najpierw muszę go wyekspediować na oiom i tu posprzątać.

- Świetnie pokierowałaś rozmową z jego ojcem.

- Dzięki.

- Nie zmęczył cię ten poranek? - Wyglądała na zdziwioną jego dociekliwością. - Sporo się działo.

- Zawsze tak jest na nagłych wypadkach. - Wzruszyła ramionami. - Naprawdę, Hamish, nic mi nie jest. Wykonuję swoją pracę jak wszyscy inni.

Ale Charlotte to nie „wszyscy”, pomyślał, gdy szli korytarzem. Po drodze z wózka z pościelą zdjął koc, a chwilę później zamienił parę słów z sanitariuszem

Mikiem, który ku bezgranicznej radości Charlotte zakołysał biodrami i wykonał kilka tanecznych kroków.

Obserwując ją od rana, stwierdził, że do niczego nie może się przyczepić: sprawdziła się w trakcie reanimacji, wykazała się wielką intuicją podczas rozmowy z ojcem pacjenta, cały personel był dla niej miły, a pacjenci na jej widok wpadali w zachwyt, ale...

Szukał w myślach odpowiedniego słowa dla określenia, co od czasu do czasu peszy go w jej zachowaniu.

Dystans. Nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Mimo że była taka serdeczna i uśmiechnięta, wyczuwał w niej dystans, który całkiem do niej nie pasował. Nic nie było w stanie wyprowadzić jej z równowagi. Czasami miał wrażenie, że...

Nie spodobała mu się konkluzja, do której zmierzał, na samą tę myśl gryzło go sumienie, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jaka Charlotte jest w domu, jak bawi się z Baileyem i jak wzorową jest pielęgniarką.

Czasami zachowywała się tak, jakby stłumiła wszelkie emocje i nic nie czuła.

Najwyraźniej tego dnia szczęście sprzyjało Ronanowi. Przewożąc go z izby przyjęć na oiom, zdumiona patrzyła, jak anestezjolog przeciąga długopisem po ramieniu pacjenta, a ten odsuwa rękę!

- Reaguje na ból! - wykrzyknął anestezjolog. - Ciągłe mnie to zaskakuje. I pomyśleć, że miałem zamiar powiedzieć twojemu szefowi, że marnuje czas zespołu. Coś mi się wydaje, że zanoszą się na happy end.

Wracając na izbę przyjęć, czuła, że umiera z pragnienia, więc skierowała się do automatu po dietetyczną

cołę, a że stał on w sąsiedztwie oddziału dziecięcego, uznała, że należy jej się chwila odpoczynku.

Nie pożałowała tej decyzji, bo powitał ją szeroki uśmiech na twarzy małego Andy'ego, który grał w jakąś grę planszową z drugim chłopcem.

- Ty ciągle tutaj? - spytała, udając zdziwienie.

- Jeszcze trochę tu pobędę. - Andy dumnie wypiął pierś. - Dostaję kupę lekarstw na skórę i jestem na ohydnej diecie - skrzywił się - i chodzę na naświetlania, a mama po południu przyniesie mi nowe okulary. To jest Blake - dodał jednym tchem. - Ma brzydką egzemę, na dodatek zainfekowaną.

- Współczuję ci, Blake. - Uśmiechnęła się przyjaźnie. - Wpadłam tylko po to, żeby się z tobą przywitać. Jak tylko będę mogła, przyjdę do was na dłużej.

- Obiecujecie siostra?

- Obiecuję.

Gdy uśmiechnięta wracała na oddział, zatrzymał ją Cameron. Miał bardzo nietęgą minę.

- Mam z tobą porozmawiać - oznajmił, gdy wzięła się do sprzątanania aneksu reanimacyjnego.

- Masz ze mną porozmawiać?

- Polecenie szefa. - Westchnął. - Podpadłem. Hamish polecił mi skonsultować się z kimś doświadczonym z personelu pielęgniarskiego w sprawie podejścia do zrozpaczonych krewnych. Wymienił także ciebie, bo umiałaś wydobyć od ojca Ronana sensowne odpowiedzi. Ten facet był kompletnie roztrzęsiony. Nie mogłem się połapać, o czym mówi. Skóra mi cierpnie, jak pomyślę, że przerwaliby reanimację, gdyby...

- Nie przerwaliby - pocieszała go. - Dzięki tym

informacjom po prostu łatwiej było im podjąć decyzję o kontynuacji.

- Charlotte, przerwa na kawę! - zawołała Helen, gdy weszli na oddział.

Panował tam idealny porządek, ponieważ niezastąpiona Helen nie marnowała czasu i już przygotowała stanowisko reanimacyjne na przyjęcie nowego pacjenta.

- Chcesz teraz porozmawiać? - Charlotte zwróciła się do Camerona. - Możemy przejść do pokoju dla rodzin. Tam jest trochę spokojniej niż w pokoju dla personelu.

- Przynieść ci kawę?

- Kofeina to kofeina. - Uśmiechnawszy się, podniosła butelkę z colą. - W każdej postaci. Idziemy.

- Nie wiedziałem, jak go uspokoić - tłumaczył się po tym, jak mocno zawstydzony zrelacjonował jej przebieg rozmowy z panem Kingiem. - Zasypał mnie pytaniami: w jakim stanie jest syn, co robią lekarze, czy on postąpił słusznie. Nie potrafiłem wyciągnąć z niego istotnych szczegółów. Nie chciałem też ignorować jego pytań. Uważam, że to byłoby nietaktowne. Widziałem, jak bardzo potrzebuje tych informacji.

- Moim zdaniem należy przede wszystkim uprzytomnić rodzinie powagę sytuacji. Jeśli chcą pomóc pacjentowi, muszą cierpliwie czekać na odpowiedzi na swoje pytania, nawet jeśli czasami może to być odebrane jako brak taktu. Później można się z tego wytłumaczyć. Jeżeli zaczynają odbiegać od tematu, trzeba im przypomnieć, że w tej chwili potrzebujesz konkretnych odpowiedzi na konkretne pytania. I nie bój się ich zadawać.

- To nie takie proste - westchnął. - Jak długo to robisz?

- Od sześciu lat. Wierz mi, rozmowy z rodzinami z czasem stają się łatwiejsze. Pomogłoby ci, gdybyś mógł przysłuchiwać się, jak ktoś z nas stara się zebrać jak najwięcej informacji od bliskich pacjenta, albo kiedy ma im do przekazania złą wiadomość.

- To ile ty masz lat? - zapytał.

- Dwadzieścia osiem. Trzeci krzyżyk - westchnęła.

- Dzięki za pomoc. Masz u mnie drinka.

- Nie odmówię.

- W sobotę?

To, że akurat w tej chwili mijał ich Hamish, powinno być bez znaczenia, ale nie było. To, że się zaczerwieniła, nie miało nic wspólnego z propozycją Camerona.

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że tu idzie.

- Kto?

- Hamish. Dotarli do mnie słuchy, że mieszkacie razem. Chyba powinienem najpierw się upewnić, że nic więcej was nie łączy.

- Nic nas nie łączy, absolutnie nic.

- Jesteś pewna?

- Na sto procent.

- To znaczy, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebym w sobotę po ciebie przyjechał.

- Jest pewna przeszkoda. - Przykład Cassie nie poszedł na marne. Pokręciła głową. - Mam inne plany.

Plany! Długie wylegiwanie się w łóżku, potem zakupy, a wieczorem tańce.

Mimo mało obiecującego początku pierwszy tydzień jej pobytu na farmie Adamsa całkiem się udał. Dużo jej dał dzień spędzony z Baileyem w jego domo-

wym otoczeniu. Gdy o drugiej nad ranem zapukał do niej Hamish z zapłakany synem, przepraszając, że musi jechać do szpitala, była pewna, że gdy ojciec wyjdzie, Baileynie nie będzie sprawiał żadnych kłopotów. I tak też się stało. Prawdę mówiąc, pod koniec tygodnia czuła się tak, jakby mieszkała tam od dawna. Za to Hamish zachodził w głowę, kiedy ta kobieta śpi.

- Co robiłaś?

- Porządek w stajni. - O wpół do ósmej rano w sobotę wmaszerowała do kuchni w białej koszuli nocnej i kaloszach. Hamish właśnie pił poranną kawę. - Mają przyjechać w przyszłą sobotę, ale nie wiem, czy w tygodniu znajdę na to czas. Powyjmowałam wystające gwoździe i rozłożyłam słomę. Nie ma chleba.

- Powinien być w zamrażarce.

- Nie ma. - Żeby to sprawdzić, nawet nie trzeba było nic wyjmować ani przekładać, bo leżał tam tylko pojemnik z kostkami lodu oraz żałośnie wgniecione pudełko z szarlotką.

- Za pół godziny jeszcze nie powinno być tłoku.

- Gdzie?

- W supermarkecie. Trzeba zrobić zakupy.

- Zakupy?

Uśmiechnęła się, widząc jego skonsternowaną minę.

- Rozumiem... Elsie cię wyręczała.

- Wcale nie. Ja robię zakupy.

- W miejscowej pizzerii na wynos. Hamish, nie mamy nic do jedzenia.

- Jutro coś kupię. W głębi szafki powinna być jeszcze jedna puszka fasolki.

- Fasolka jest nudna.

- Można ją posypać tartym serem. - Uśmiechnął

się z przymusem. - Przecież ciebie to i tak nie interesuje, bo wychodzisz.

- Nigdzie nie wychodzę.

- Jesteś umówiona z Cameronem - wyjaśnił. - Słyszałem, jak cię zaprosił. Nie pamiętasz?

Po raz pierwszy poruszyli ten niewygodny temat. Po raz pierwszy objawił się problem związany ze wspólnym mieszkaniem i pracą w tym samym miejscu, co Hamish przewidział już na samym początku.

- I od razu uznałaś, że przyjęłam zaproszenie. - Uśmiechnęła się z politowaniem, na co on się zaczerwienił.

- Pomyślałem...

- Doskonale wiem, co sobie pomyślałaś. Przystojny doktorek proponuje pielęgniarce wspólne spędzenie sobotniego wieczoru, więc ona, oczywiście, z radością na to przystaje. - Teraz ona się zaczerwieniła. - On wie, że mieszkamy razem. A ja nikomu nie powiedziałam - zastrzegła się. - Nie mam pojęcia, jak to do niego dotarło.

- Miałaś obowiązek poinformować szpital o zmianie adresu - przypomniał jej, a ona ponuro przytaknęła. - Podałaś moją farmę. I wpisałaś swój nowy numer do oddziałowej książki telefonicznej. Jestem zwany tak często, że wszyscy na pamięć znają mój numer. Charlotte, od początku było wiadomo, że to szybko przestanie być tajemnicą.

- Nie spodziewałam się, że aż tak szybko.

- Poza tym jeździsz moim jeepem.

- Przepraszam.

- Daj spokój. To dla mnie żadne zaskoczenie. Praca w szpitalu wyklucza jakąkolwiek prywatność. -

Wzruszył ramionami. - Może powinnaś była spotkać się z Cameronem, choćby po to, żeby wykluczyć rychły ślub.

- Jaki ślub? - przeraziła się.

Uśmiechnął się zadowolony, bo po raz pierwszy miał wrażenie, że nareszcie ma przed sobą prawdziwą Charlotte.

- W poniedziałek będzie o tym aż huczało.

Nim skończył mówić te słowa, Charlotte wybuchnęła śmiechem. Zrozumiał, że jego radość była przedwczesna.

- Po co nam jakiś świstek, jeżeli możemy mieć burzliwy romans... albo razem robić zakupy.

- Nienawidzę zakupów.

- Bo nigdy nie miałeś do czynienia z ekspertem. - Ze swej przepastnej torby wygrzebała notes i długopis. - Moje jedzenie będzie podpisane. Tak robiłam w schronisku. Mogę też na chybił trafił zgadywać, co wy lubicie. Słucham.

- Jak to?

- Jeżeli nie chcesz jechać do supermarketu, zrobię listę i sama pojedę. Powiedz mi, co lubisz, co Bailey lubi... O, kończą się pieluchy i proszek do prania. Jakiego używasz?

- Dobrze, już dobrze.

- Kosmetyki? Jakiej marki?

- Dobra, pojąłem aluzję.

- Jaką aluzję?

- Pojedziemy wszyscy. Idę przewinać Baileya.

- Fantastycznie. - Rozpromieniona znowu czegoś szukała w torbie. Kluczyków do auta. - Ja prowadzę.

W tej samej chwili do kuchni wkroczył Bailey, ale

zamiast iść do ojca, poszedł prosto do Charlotte. Gdy się pochyliła, by go wziąć na ręce, Hamish nie mógł nie zauważyć jej piersi, która omal nie wysunęła się spod koszuli.

- Hm, Charlotte.... - Stała przed nim z dzieckiem na biodrze, bez makijażu, potargana, w koszuli nocnej i kaloszach. Była po prostu piękna! - Może byś się ubrała?

Skamieniała.

- O matko! - Posadziła Bailey'a na podłodze i wybiegła z kuchni. - Gdybyś mi nie powiedział - wołała ze schodów - pojechałabym do supermarketu w koszuli!

Zamiast przewinąć syna, zamiast poszukać portfela lub sprawdzić w spiżarni, co należy dokupić, Hamish stał bez ruchu.

- Dal-dot! - Bailey wpatrywał się w ojca, jakby czytał jego myśli. - Dal-dot.

- Chłopie, też bym chciał - mruknął Hamish, spoglądając na brudne ślady jej kaloszy odcisnięte na podłodze.

Kot i pies siedziały smutne pod schodami, czekając, aż ich pani zejdzie na dół. Hamish i Bailey mieli wielką ochotę do nich dołączyć.

Wtargnęła w ich życie jak tornado, wprowadziła do ich domu zwierzaki, śmiech oraz nieszkodliwe uszczypliwości. I oto o ósmej rano w sobotę jadą na zakupy. Pokój gościnnie odmalowany, Bailey wniebowzięty, a on...?

Poczuł znajomy ucisk w żołądku, ale nie potrafił go zdefiniować, bo przez te wszystkie miesiące zdążył zapomnieć o tych sprawach.

Dobry nastrój jednak wkrótce go opuścił. Nie znosił sobotniej atmosfery w supermarkecie. Co z tego, że przyjechali bardzo wcześnie, skoro wszystkie rodziny w Camberfield wpadły na ten sam pomysł?

Najpierw nie mógł znaleźć wolnego miejsca na parkingu, potem, gdy poszedł po wózek, zorientował się, że nie ma odpowiedniej monety. Za to Charlotte była w swoim żywiole. Wsadziła Bailey'a do wózka i jak nawiedzona ruszyła na łowy.

- O co ci chodzi? - zdenerwował się, gdy odłożyła na półkę chleb, który on wybrał, a wrzuciła do wózka dwa inne.

- Dwa w cenie jednego! - Wydobyła z torby plik karteczek. - Kupony!

- Zbierasz kupony?!

- Oczywiście. Pielęgniarki nie zarabiają tyle co ordynator.

- Charlotte! - jęknął. - Nie wyjdziemy stąd do wieczora.

- Więc się zrelaksuj.

Łatwo powiedzieć.

- Hamish! - Gdy szarpał się z okazałym workiem pieluch na górnej półce, dopadła go jedna z mam ze żłobka Bailey'a. Zadbana, elegancka i... nachalna. - Bailey nadal nie uznaje nocnika?

- Dał zdecydowany odpór - przyznał ponuro. - A Felicity?

- Rewelacyjnie. Praktycznie ma sucho przez całą noc. - Umilkła na widok Charlotte, która podeszła do wózka z rękami pełnymi kosmetyków.

- Poznaj Charlotte - rzekł speszony, uprzytomniwszy sobie, że nie ma zielonego pojęcia, jak ma na imię

matka Felicity. - Charlotte mieszka u mnie - wyjaśnił, widząc jej ściągnięte brwi.

- Hm.

- W pewnym sensie... - Co go podkusiło przyjechać do supermarketu?

- Jestem opiekunką Baileya i dlatego mieszkam u doktora Adamsa. - Charlotte wybawiła go z kłopotliwej sytuacji.

- Mów mi Lucy. - Kobieta się rozpogodziła. - To znaczy, że wy nie...

- Oczywiście, że nie! - Charlotte parsknęła śmiechem. - Nie wytrzymałabym z takim ponurakiem.

- Hamish, posłuchaj, kupiłam Felicity śliczny nocniczek. Z pozytywką! Ona go nie używa, bo już siada na muszli.

- Fantastycznie - rzekł bez przekonania.

- Gdybyś chciał jeszcze raz spróbować, to chętnie go wam pożyczę. Jeśli się zdecydujesz, wpadnij do mnie kiedyś, jak zostawimy dzieciaki w żłobku.

- Super. - Gdy zniknęła między półkami, głośno westchnął. - Może jednak kupię mniejszą paczkę i tym razem będę konsekwentny?

Potem zakupy potoczyły się gładko. Dzięki Charlotte okazały się całkiem proste. Kiedy Bailey zaczął marudzić, podała mu sok jabłkowy w kartoniku, w okamgnieniu zapełniła cały wózek jedzeniem i dzieśniętymi innymi produktami i nawet kilometrowa kolejka przestała być mu straszna, gdy poszedł w ślady Charlotte.

Przeglądała czasopisma ze stojaka przy kasie, bezczelnie czytając wszystko, co ją zaciekało, po czym odkładała je na miejsce.

- Nie wolno czytać i nie kupić - warknęła kasjerka, obrzucając ją nienawistnym spojrzeniem.

- Gdyby było więcej czynnych kas, to bym nie czytała. - Wzruszyła ramionami. - O, to kupię. Moje finanse się poprawią i stracę głowę dla... - Zmarszczyła nos i odłożyła kolorowy magazyn. - Każą mi dbać o zdrowie. Co mówi twój horoskop? - zapytała, widząc, że i on przegląda jakieś pismo.

- Że jeżeli nie będę uważał, to mogę się zdemoralizować. Bailey też. - Uśmiechnął się przepraszająco do wściekłej kasjerki, gdy jego syn zacisnął paluszki na batoniku. - Bailey, zostaw.

- Oj, pozwól mu, był taki grzeczny... - Już rozrywała folię. Podała opakowanie kasjerce, uśmiechając się rozbrajająco i wykładając rzeczy z pełnego wózka. - Na pewno jest pani zmęczona. Tylu klientów, taka kolejka i wszyscy niezadowoleni. Dlaczego nie działa więcej kas? Kasjerkom byłoby łatwiej.

Po raz kolejny jej urok czynił cuda. Naburmuszona i zirytowana kasjerka rozchmurzyła się, by ponarzekać na szefostwo, klientów i matki, które pozwalają dzieciom brać wszystko, co jest przy kasie.

- Nie tak jak państwo... - Odrywając paragon, obdarzyła ich czarującym uśmiechem. - Pani przynajmniej podała mi opakowanie z kodem. Jesteście bardzo sympatyczną rodziną.

- Dzięki. - Pchając wózek w stronę baru, nie zauważyła naglej zmiany nastroju Hamisha. - Czujesz, jak pachnie pieczonym bekonem?

- Jedźmy już do domu.

- Nie napijemy się kawy?!

W jej przypadku oznaczało to duże śniadanie.

Zasiadłszy nad zastawioną tacą, nie zwracała uwagi na jego skwaszoną minę.

- Niepotrzebnie to powiedziałaś - odezwał się, gdy z apetytem jadła jajka, bekon i fasolkę.

Bailey zadowolili się drożdżówką.

- Co? - zapytała. - Na pewno nie jesteś głodny?

- Że jesteśmy rodziną.

- Oj, przestań. - Przekroiła bułeczkę, włożyła do środka plasterki bekonu i mu ją podała. Kiedy pokręciła głową, położyła kanapkę na talerzyku i postawiła przed nim. - A ty prawie to samo powiedziałaś Lucy. Na pewno od razu pomyślała, że jesteśmy kochankami.

- Następnym razem się poprawię - burknął. - A twoje słowa utwierdziły ją w przekonaniu, że jesteśmy rodziną...

- Ona chciała tylko pogadać. Co miałam jej powiedzieć? „Hamish jest wdowcem, a jego synek nie ma mamy”? A propos, moja mama sfinalizowała sprzedaż domu. O, Helen! - Zerwała się z miejsca, energicznie machając ręką. - Helen, chodź do nas!

Hamish skulił się na krześle, przerażony faktem, że ich nietypowy układ lokalowy został tak niespodziewanie odkryty.

- Mówiłaś, że jesteś dyskretna - syknął. - Po co ją zawołałaś?

- Dlaczego miałam jej nie zaprosić? Już wszyscy o tym wiedzą.

- Wyglądamy jak... - Rozejrzył się. Przy wszystkich stolikach same pary z małymi dziećmi oraz wózkami wyładowanymi zakupami.

- Przecież się nie obściskujemy. - Zachichotała.

- Nie trzymam cię za rękę, nie karmię cię... Mamy święte prawo jeść i robić zakupy. Zrelaksuj się, dobra?

Nie miał najmniejszego zamiaru się zrelaksować.

Absolutnie. Tym bardziej że Helen jak gdyby nigdy nic rzuciła mu pospieszne „cześć”, po czym natychmiast wdała się z Charlotte w rozmowę na temat butów, które przed chwilą kupiła. Nie miał wyboru. Nie pozostawało mu nic innego jak zrezygnować z dąsów i pić kawę.

- Posłuchałam twojej rady i je kupiłam. - Wyjęła buty z torby. - Hamish, jak ci się podoba mój nowy nabytek?

Był gotowy uprzejmie się uśmiechnąć i pokiwać głową, przewidując, że Helen zaprezentuje mu parę brązowych mokasynów stosownych dla kobiety sześćdziesięcioletniej, ale gdy ujrzał jaskrawoczerwone szpilki na niebotycznym obcasie, wołał nie patrzeć na Charlotte, bo poczuł, że wybuchnąłby niepohamowanym śmiechem.

- Ładne...

- Piękne. - Charlotte promieniała, a jemu przeszło przez myśl, że świat stanął na głowie.

W końcu się zrelaksował i jedząc kanapkę, gaworzył z Baileyem, od czasu do czasu spoglądając przez ramię na trajkoczące kobiety.

Bezowocnie usiłował przejrzeć Charlotte. Dręczyło go przeświadczenie, że musi ją lepiej poznać.

Po południu, kiedy wszystkie zakupy znalazły się na właściwym miejscu, kiedy od rana unikał wszelkiego myślenia, zobaczył ją na kanapie w saloniku. Czytała, jedząc jabłko. Po raz pierwszy ujrzał ją w okularach i wtedy dała o sobie znać długo tłumiona myśl.

Pragnie jej.

- Gdzie Bailey? - zapytała, rzucając mu pytające spojrzenie.

- Męczy kota. - Uśmiechnął się niepewnie.

Zrobiło mu się głupio, że dał się jej przyłapać na gapieniu się na nią, ale był zbyt pochłonięty obmyślaniami planu. Mógłby zadzwonić do Bel i poprosić ją, by posiedziała z małym. I co dalej? Minęło chyba dziesięć lat, kiedy ostatni raz zaprosił kobietę na kolację w restauracji. Gdyby odmówiła, sytuacja stałaby się bardzo niezręczna, ale gdyby nie odmówiła...

- Która godzina?

- Szósta. - Zerknął na zegarek. - Pomyślałem...

- Szósta? O Boże, zaczytałam się. - Zerwała się na równe nogi. - Spóźnię się! - W ostatniej chwili zatrzymała się w progu. - Chciałeś coś powiedzieć.

- Nie, nic. Pospiesz się.

Usiadł z laptopem na kanapie z uczuciem wielkiej ulgi. Dobrze, że los uratował go przed tą chwilą obłędu. Bailey wdrapał się na kanapę i do niego przytulił.

- Mama - powiedział, wskazując na ekran.

- Tak, to twoja mama - odparł Hamish, ze ściśniętym sercem patrząc na całą trójkę.

To zdjęcie zrobiła Belinda. Została wtedy na noc z Baileyem, bo oni wybierali się na bal lekarzy. Bailey, taki maleńki w różowym puszystym kocyku, on sam w smokingu i Emma w eleganckiej czarnej sukni, z wysoko upiętymi włosami... Z zadumy wyrwała go Charlotte.

- Wychodzę. Jak wyglądam?

Prawdę mówiąc, jak piękna kurtyzana, przyszło mu do głowy. Oczywiście, nie powiedział tego głośno, ale

jej obecność uprzytomniła mu, że jest nieciekawym i zgnuśniałym, mimo to cieszył się, że udało mu się uniknąć kompromitacji.

Nigdy się nie dogadają. Chyba oszalał, łudząc się, że coś z tego będzie. Spoglądając na nią, zdobył się nawet na sztuczny uśmiech, bo nie wyobrażał sobie, by z kimś takim mógł się pokazać na balu ordynatorów.

Oprócz kilkunastocentymetrowych szpilek miała na sobie połyskującą falbaniastą szafirową spódnicę i czarną obcisłą bluzkę z wielkim dekoltem. Na rzęsy nałożyła kilo tuszu, a na wargi grubą warstwę szminki. Całości dopełniały artystycznie skołtunione włosy z wpiętym kwiatem. Przez moment nie był pewien, czy nie postradał zmysłów.

- Bardzo ładnie. - Kiedy ujęła brzeg spódnicy i zrobiła taneczne *pas*, kusiło go, by zasłonić Baileyowi oczy.

Na szczęście na dworze zatrąbił samochód. Charlotte skłoniła się nisko, po czym wybiegła z domu.

Była to ich ostatnia atrakcja tego wieczoru.

- Bławo! - zagulgotał Bailey, klaszcząc w ręczki.
- Dzie Dal-dot?

- Jesteś za młody, żeby wiedzieć. - Hamish potrząsnął głową. - A ja za stary.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Cieszysz się, że nareszcie zwierzaki będą z tobą?
- Helen oparła spuchnięte nogi na sąsiednim krześle, nie odrywając palców od klawiatury komputera. Ziewnęła zmęczona kolejnym nocnym dyżurem. Na szczęście noc była spokojna, a poranna zmiana już się schodziła.

- Nie mogę się ich doczekać. - Charlotte mało się nie spóźniła, bo Hamisha wezwano o szóstej nad ranem, więc musiała odwiedzić Baiłeya do żłobka. - Co robisz?

- Usiłuję znaleźć wyniki badania krwi pacjenta z czwórki. Hamish chce je obejrzeć, zanim odeśle go na kardiologię. EKG niczego nie wykazało, ale on mimo to podejrzewa atak serca. W laboratorium twierdzą, że wysłali, a komputer się upiera, że nic takiego nie ma. Nie znoszę komputerów! -jęknęła. - O, teraz się zawiesił. Nie można tego przekazać przez telefon?

Charlotte odstawiła torbę i usiadła obok Helen.

- Daj, spróbuję.

- Helen, masz te wyniki? - Do stanowiska pielęgniarek podchodził zirytowany Hamish.

- Już idą - odparła Charlotte, po czym wróciła do rozmowy z koleżanką. - Dla Scottiego to będzie bardzo męcząca podróż.

- To ten stary kucyk?

- Tak. - Charlotte skinęła głową. - No, już się odwiesił.

- Ale wyników ciągle nie ma - westchnęła Helen.
- Chyba znowu do nich zadzwonię.

- Helen, trzeba nacisnąć „odśwież”! - zachichotała Charlotte. - Jak chcesz aktualizować dane, musisz nacisnąć „odśwież”. Już ci to mówiłam.

- Faktycznie. Hamish, są wyniki!

- Nareszcie. - Zerknął na ekran, po czym kiwnął głową. - A jednak zawał. Dzwonię na kardiologię.

- On jest taki słodki - rozmarzyła się Charlotte. -
Scottie, nie ty - wyjaśniła, gdy Hamish rzucił jej zaskoczony spojrzenie. Puściła do niego oko. Mimo że wszyscy już wiedzieli, że mieszkają razem, w pracy zachowywała się dyskretnie, ale ponieważ słyszała ich tylko Helen, bardzo z nim zaprzyjaźniona, w jej obecności mogli rozmawiać swobodniej. - Bailey mógłby się na nim przejechać. To bardzo łagodny staruszek.

- Bailey będzie trzymał się od niego z daleka.

- Scottie nie skrzywdziłby nawet muchy.

- Nie życzę sobie, żeby mój syn zbliżał się do stajni - warknął, po czym sięgnął do telefonu.

- Charlotte, daj spokój. - Helen energicznie machała ręką, żeby ją uciszyć. - Zaraz coś ci powiem.

- To będzie dla niego nowe przeżycie - upierała się Charlotte, gdy odłożył słuchawkę.

- To ja decyduję, co posłuży mojemu synowi - odparował, szykując się do odejścia. - Jesteś opiekunką, nie zapominaj o tym - rzucił przez ramię. - To ja ustalę reguły.

- Ponurak - prychnęła, odczekawszy, aż się oddali.

- Tym razem ma powody - odezwała się Helen,

zniżając głos. - Jego żona zmarła na skutek upadku z konia. Stratował ją na jego oczach. Przygotowywał w kuchni mleko dla Baileya. Widział wszystko przez okno.

Charlotte się zaczerwieniła.

- Och.

- Przeprasz go później, jak trochę ochłonie.

- Ja? Mam go przepraszać? Słyszałaś, jak się do mnie odzywał?

Mimo że szef krzątał się w pobliżu, weszła na darmową stronę tarota, by poznać swoją wróżbę na ten dzień. Potem miały razem sprawdzić leki.

- To okropne, że Hamish stracił żonę, a Bailey matkę, ale śmiem twierdzić, że to lepiej, niż gdyby zginęła w wypadku drogowym, bo musiałabym cały ten kawał drogi wozić Baileya w wózku.

Gdy o świcie przyjechał kolega Charlotte z jej ukochanymi zwierzakami i niezliczonymi kartonami, Hamish naciągnął dzinsy i buty, by jej pomóc, mimo że od poprzedniego dnia się nie odzywali.

- Biedny Scottie jest wykończony podróżą. Dobrze mu zrobi odpoczynek i porządne śniadanie.

Najlepiej zrobiłby mu zastrzyk usypiający, pomyślał Hamish. Pierwszy raz widział tak starego kucyka. Potykając się, zwierzę schodziło po pochylni. Było tak wychudzone, że aż dziw, że trzymało się na nogach. Na kopytach miało skórzane ochraniacze z powodu jakiegoś schorzenia i rżało przerażone, gdy Charlotte zachęcała je, by zeszło. Scottie nie był stary, Scottie był po prostu zgrzybiały.

- Biedaczysko - litował się nad nim Trevor, kolega Charlotte, który dla niej nadłożył dwie godziny drogi,

a teraz pomagał doprowadzić kucyka do stajni. Hamish początkowo bardzo nieśmiało do nich dołączył. - Teraz wyprowadzę Fitz'a i wyładuję resztę kartonów. Zostań przy Scottiem. Skoro z nim jesteś, niedługo się uspokoi.

- Mam nadzieję. - Po raz pierwszy Hamish zobaczył zmartwioną Charlotte. Przytuliła kucyka, szepcząc mu do ucha słowa otuchy. - Może ta podróż była ponad jego siły?

- No, nie mogłaś go tam zostawić - zauważył Trevor, odwracając się w stronę Hamisha i podnosząc oczy do góry. Gdy opuścili stajnię, dodał, zniżając głos, by Charlotte nie słyszała: - To przez tę jej piekielną mamuszkę.

Fitz był w bardzo dobrym stanie. Od razu wystawił głowę ponad bramkę w drzwiach stajni i wciągał w nozdrza zapachy nowego miejsca. Nawet skubnął Trevo-
ra, domagając się smakołyków.

- Charlotte potrafi zaskakiwać.

- Zajdziesz na kawę? - zapytał Hamish.

Wystąpił z tą propozycją nie tylko dlatego, że wypadało, ale liczył, że dowie się czegoś więcej.

- Dzięki, z przyjemnością. Ale zaraz potem ruszam w drogę.

- Trevor, nie ma pośpiechu. Zjedz z nami śniadanie.

- Dzięki, ale trochę się spieszę. Mam przeczucie, że zoneczka przyszykowała mi na dzisiaj jakieś zadania.

- Skąd zabierasz te konie?

Trevor ściagnął brwi, po czym się roześmiał.

- To jest oficjalna wersja dla Charlotte. Żeby się nie upierała, żeby mi zapłacić. Ona wszystkim pomaga, ale sama nie potrafi od nikogo przyjąć pomocy.

- Mam wrażenie, że życie jej nie rozpieszczało. Do tego ten nagły wyjazd matki...

- Josie? - Trevor podniósł wzrok do nieba. Nie potrzebował jajek na bekonie, żeby mu się język rozwiązał. - Niezła z niej kokietka.

Hamish uśmiechnął się zdawkowo, wsypując łyżeczkę cukru do kawy, mimo że nigdy tego nie robił.

- Od kiedy mąż ją rzucił, ma coraz to innego face-
ta. Ale ten, mówiłem to żonie, zatrzymają na dłużej.
Ma wszystko co trzeba. Luksusowy samochód, jacht...
- Wyliczał na palcach. - Żonie nie mogę tego powie-
dzieć, ale rozumiem, dlaczego facetki tak lecą na Josie.
Jest atrakcyjna i zawsze wesoła. Na takich jak ja nawet
nie spojrz, chyba że czegoś potrzebuje.

- Powoli dochodzi do siebie. - Trevor umilkł, bo
do kuchni weszła Charlotte. - Trevor, nie wiem, jak ci
dziękować. Powiedz, ile jestem winna. - Wyjmowała
portfel.

- Nic. Już ci mówiłem, że i tak jadę w te strony.

- Ale codziennie do nich chodzisz, karmiłeś je...

- Nie ma o czym mówić.

- Pozwól chociaż, że zwrócę ci za paliwo - nalega-
ła, ale on kategorycznie odmówił, po czym zmienił
temat.

- Jak przychodziłem do twoich koni, to kiedyś
przez okno zajrzałem do środka. Tam jest jeszcze
mnóstwo rzeczy, trzeba też posprzątać, zanim przyje-
dzie nowy właściciel. Pomóc ci? Mogę ci się przydać
do ciężkich prac.

- Nie trzeba. Wszystko jest pod kontrolą. Mam
wolne w czwartek i piątek. Załatwiłam ludzi z fundacji
dobroczyennej, którzy zabiorą, co im się przyda. Na

resztę zamówiłam największy kontener, jaki był w okolicy. Jak się sprężę, pod wieczór w piątek oddam pośrednikowi klucze.

- A sprzątanie?

- Panuję nad tym. W piątek przyjdzie wynajęta sprzątaczką.

- Wykluczone - obruszył się Trevor. - Nikogo nie będziesz wynajmować. Ja ci pomogę w czwartek, a żona przyjdzie w piątek o siódmej rano i pomoże ci sprzątać. Jesteśmy umówieni. Nie sprzeciwiaj się.

Scottie doszedł do siebie całkiem szybko, gorzej było z Baileyem. Koniecznie chciał włączyć się w zamieszanie, jakie odbywało się na dworze. Głośno domagał się, żeby go wypuszczono, pokazując palcem na okno i płacząc się pod nogami Hamishowi, który za nic w świecie nie mógł go zrozumieć. Nie poskutkowało nawet tańczenie do wtóru jego ulubionego wideo.

- Co wy tu robicie? Kisicie się w domu w taki piękny dzień? - zapytała Charlotte, otwierając lodówkę.

- Bardzo dobrze się bawimy - bronił się Hamish.

- Widziałas jego nocnik? To nasze drugie podejście.

- Po co? - Zamrugwała.

- Bo w tym wieku należy nauczyć się nocnika.

- Naprawdę? Będziesz biegał za nim z czerwonym nocnikiem? On myśli, że to zabawa.

- Wiem - jęknął, wyczerpany brakiem sukcesu. - Ale wszystkie matki w żłobku są skłonne przyjść mi z pomocą. Pamiętasz Lucy? Opowiadała mi o nocniku z pozytywką, która się włącza w kulminacyjnym momencie. Mam taki kupić?

- Taniej wyjdzie powiedzieć „mądry chłopczyk” -

zauważyła. - Wiesz co, podejrzewam, że tym mamuśkom jest obojętne, czy Bailey nosi pieluchę, czy nie.

- Helen mi wyznała, że dla zachęty swoim dzieciom wkładała piłeczki pingpongowe do muszli, a jej mąż... - Jej ręka z nożem zawisła nad bułką, a na twarzy odmalowało się niedowierzanie.

- Ale ludzie mają pomysły... - Wróciła do smarowania bułki. - Czy jest jakiś powód, dla którego on już teraz musi się tego nauczyć? Czy na przykład okazało się, że jest geniuszem i za tydzień pójdzie do szkoły, a ty nie chcesz, żeby był jedynym dzieckiem, które chodzi z pieluchą?

- Ale zabawne - obruszył się. - Ty nie musisz wysłuchiwać w żłobku przechwałek tych bab. Że ich pociechy przesypiają całą noc i w ogóle się nie moczą.

- To niech się z tego cieszą. - Wzruszyła ramionami. - Bardzo lubię wstawać do niego w nocy. Bardzo się z tego cieszymy, prawda, maluszkę? - Posłała Baileyowi całusa, którego on odwzajemnił, po czym mówiła dalej. - Hamish, one cię podrywają.

- Kto?

- Te mamuśki.

- Helen też?

- Nie, Helen nie - przyznała. - Ale mamuśki ze żłobka tak. Ta Lucy to mężatka?

- Nie mam pojęcia.

- Założę się, że nie. I pewnie liczy na rozrywkowy wieczór.

- To ładnie z jej strony, że...

- Naprawdę uczynna osoba zostawiłaby nocnik z pozytywką w plastikowej torbie z karteczką z twoim nazwiskiem w żłobku, a nie... - Wzięła się pod bok

i zatrzepotała rzesami. - „Wpadnij do mnie, jak zostawimy dzieci w żłobku.” Na pewno godnie cię podejmie.

- Co to to nie!

- Co byś powiedział, żeby się rozebrać i zrobić sobie piknik? Rozebrać Bailey’a - uściśliła, widząc jego zdumienie. - I zabierz na dwór nocnik, żeby ten dywan trochę odpoczął. Przygotuję coś na piknik.

Bailey zaklaskał w rączki.

- Nam tu dobrze - zachnął się Haniish.

- Rób, jak chcesz. - Wyszła z kuchni.

Siedział przy stole, bębniąc palcami w blat, a Bailey z twarzą rozpląszczoną na szybie mazał się, bo chciał bawić się z psem i kotem, które teraz biegły za Charlotte do stajni.

- Dal-doooot... - Zrezygnowany i zaryczany plasnął pupą o podłogę. - Kotaaa...!

- Zjedz coś - zaproponował Hamish, pokazując mu miseczkę z ulubionym makaronem. Na nic. Bailey jeszcze bardziej wzmógł swój protest, strącając miseczkę na podłogę i wrzeszcząc wniebogłosy.

W końcu wierzgającego i wymachującego rękami chłopca Hamish wziął na ręce i zaniósł na górę, żeby położyć go spać.

- Nie - rzekł groźnym głosem, kiedy Bailey próbował wydostać się z łóżeczka. Po raz kolejny go położył, po czym podszedł do okna, by zaciągnąć zasłony. Chciał w ten sposób pokazać synowi, że jest konsekwentny.

Niestety, przez okno zobaczył Charlotte. Leżała na trawie i wpatrywała się w niebo, a obok drzemały jej zwierzaki. Zaprzagnął tam się znaleźć, cieszyć się pięknym

nym dniem, zamiast siedzieć w domu i udawać przed Baileyem, że jakieś zwierzęta to tylko jego wymysł.

- Chodź, stary - jęknął.

Wyjął synka z łódeczka, a ten jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestał płakać. Pojął, że postawił na swoim, więc nawet siedział cicho na podłodze w kuchni, czekając, aż ojciec posmaruje masłem bułki i wyjmie z lodówki picie oraz owoce.

- Długo was nie było. - Uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

- Robiłem kanapki.

- Przygotowałam całą górę kanapek.

- To będą na kolację - stwierdził, siadając.

Wyjął z torby kiść winogron i podał ją dziecku. Ale Bailey nawet na nie nie spojrział. Z błyskiem w oku wpatrywał się w Scottiego, który wystawiał łeb ze stajni i cicho rżał. Hamish nie miał siły dłużej walczyć.

Tłumiąc wzbierający w nim strach, wziął małego na ręce i pozwolił mu pogładzić kucyka. Potem nawet zgodził się, by Charlotte pokazała Baileyowi, że konie karmi się z otwartej dłoni. Nie wytrzymał i parsknął śmiechem na widok zdziwionej i uradowanej miny Baileya, kiedy łaskotały go ogromne kosmate wargi zbierające winogrona z jego dłoni. Chłopczyk, rozpromieniony, aż kwiczał z zachwytu, a jego ojciec po raz pierwszy od wielu miesięcy dostrzegł w nim podobieństwo do żony.

Dużo, dużo później, kiedy Bailey szalał na trzykołowym rowerku, trąbiąc radośnie za każdym razem, kiedy mijał Scottiego i Fitzę, Hamish zrozumiał, że tamta wizyta w stajni nie poszła na marne. Była piekielnie trudna, ale dobrze zrobił, na nią się decydując.

- Jeździłeś konno? Przed wypadkiem Emmy, rzecz jasna.

Powoli oswajał się z bezpośredniością Charlotte, więc tym razem odpowiedział jej bez chwili wahania:

- Trochę, Nie interesowałem się końmi, dopóki nie poznałem Emmy. Ona od dziecka miała bzika na punkcie koni, ale ja za nimi nie przepadam.

- To znaczy, że Bailey wdał się w Emmę. - Nawet nie miała pojęcia, jaką przyjemność sprawiły mu te słowa.

- To możliwe. A ty? Ile miałaś lat, jak zaczęłaś jeździć?

- Osiem, ale umierałam ze strachu.

- Rodzice cię zmuszali?

- Skądże. - Zaśmiała się. - Przywożąc mnie do stadniny, mama ani razu nawet nie wysiadła z auta. Podejrzewam, że nie chciała ubłocić sobie szpilek.

- Więc jak to się stało, że to polubiłaś?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Ciężko nad sobą pracowałam.

Przyglądał się jej bardzo długo, potem przeniósł wzrok na syna. Czuł, jak powraca do niego to uczucie, jak się nasila. Jak powoli go przepełnia. Na nic wyszukiwanie kontrargumentów. Charlotte czasami ma przedziwny gust, czasami zachowuje się jak idiotka, często mówi, co jej ślina na język przyniesie... ale przy niej jest szczęśliwy.

Popatrzył na dom, na syna, na swoje życie. I dostrzegł, jak bardzo to wszystko się zmieniło, odkąd zamieszkała tu ta niezwykła kobieta. Przypomniało mu się, co poczuł wtedy, pod schodami. Coś dawno zapomnianego.

Szczęście.

- Wieczorem - odkaszlnął - jak Bailey zaśnie.
Niedaleko jest hinduska restauracja. Rozwożają...

- To brzmi zachęcająco, ale ja idę na tańce.

- Na jakie tańce?

- Chodź ze mną - zaproponowała. - Będziemy się bawić. Może Belinda posiedziałyby przy małym?

- O nie! Uważam, że należy się jej urlop od Baileya.

Starał się nie okazywać emocji. Wmawiał sobie, że nie jest mu przykro, że w sobotni wieczór Charlotte wybiera tańce z przyjaciółmi, a nie kolację w domu z samotnym ojcem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Zajrzę do stajni.

Sięgnęła po jabłko. Leżąc półprzytomny pod pledem na kanapie pośród chaosu, jaki powstaje wokół ząbkującego dziecka, chciał ją poprosić, by się ubrała. Znowu była w koszuli i kaloszach, ale po chwili zorientował się, że narzuciła na siebie ciepłą kurtkę. Prawdę mówiąc, widział tylko jej twarz, bo reszta jej ciała była kompletnie zakryta. Cholerna wyobraźnia!

- Jak wróciłam wieczorem, to też tu leżałeś. Nie obudziłam cię?

- Mnie nie, ale Bailey'a tak. - Zrobiło mu się głupio. Przecież to nie jej wina, że oszalał na jej punkcie, że myślał o niej przez całą noc, dręczony zazdrością i nienawiścią do szczęściarza, z którym tańczyła.

To nie jej wina, że on teraz jest nie w sosie.

- Spałeś chociaż trochę? - Znienacka się nad nim pochyliła.

- Co robisz?!

- Nic zdrożnego.

Obsypała całusami Bailey'a, który zasypiał na jego piersi. Nozdrza Hamisha wypełnił jej zapach, a wzrok padł na jej pierś. Podciągnął wyżej pled.

- Myszko, męczą cię ząbki? - zamruczała, na co Bailey szeroko się uśmiechnął.

- Przestań - warknął Hamish. Niech ona jak naj-

szybciej zasłoni tę pierś. Wielka szkoda, że Bailey nie leży w swoim łóżeczku na górze, szkoda, że Charlotte nie pochyła się nad nim. - Już zasypiał.

- Ponurak. - Wyprostowała się, pokazała mu język i tanecznym krokiem wyszła z pokoju.

- Dal-dot... - zagulgotał sennie Bailey, nareszcie zamykając powieki, mimo że była pora wstawać.

Położywszy go w łóżeczku, zastanawiał się, czy i on nie ma ochoty odpocząć, czy może raczej powinien się ubrać.

- Hamish! - Nie wiadomo, co dotarło do niego jako pierwsze: trzask kuchennych drzwi czy krzyk Charlotte.

Zbiegł po schodach po trzy stopnie naraz. Stanąwszy przed nią, instynktownie chwycił ją za ręce.

- Scottie... Scottie... - Głos jej drżał. - Zadzwoń po weterynarza.

- Co się stało?

- Wezwij weterynarza!

Domowy numer weterynarza od lat znajdował się w pamięci telefonu. Ot, taki maleńki fragment jego dawnego życia, z którym nie miał serca się rozstać. Biegnąc w stronę stajni, rozmawiał z zaspaną żoną Nicka, potem z nim samym.

- Możesz przyjechać?

Nie miał pojęcia, co się stało, ale czuł, że to coś poważnego.

- Mam tu wiekowego kucyka...

Wszedł do stajni po raz pierwszy od śmierci Emmy i, o dziwo, o niej nie pomyślał.

Ujrzał Charlotte na kłęczkach wtuloną w pysk Scottiego, który leżał na boku. W jego oczach malowało się cierpienie i strach. Czując się bezradny, Hamish zro-

bił, co mógł: okrył zwierzę derką, by mu było ciepłej. Próbował też wesprzeć Charlotte.

- Weterynarz już jedzie.

- Dobry?

- Bardzo dobry. Ma na imię Nick. Emma tylko jego uznawała.

- Powiedziałeś, że to coś poważnego?

- On tu zaraz będzie. - Czy ona modli się o cud?

Charlotte jeszcze mocniej przytuliła się do kucyka. Niech ten Nick już przyjeżdża!

Przyjechał, mimo że w opinii Hamisha trwało to wieczność. Hamish uznał wówczas, że nie ma tam nic więcej do roboty. Charlotte poprosiła go jedynie o wezwanie weterynarza, a on tę prośbę spełnił. Spoglądając na zrozpaczoną Charlotte, mimo że często miał do czynienia z osobami w takim stanie, poczuł się niepotrzebny. Nic nie mówiła, więc nie miał szansy odpowiadać, nie płakała, więc nie było potrzeby trzymać jej za rękę. Była samowystarczalna.

Nick zajął się nią w sposób rewelacyjny - młodzi lekarze mogliby się od niego dużo nauczyć.

Ze zwierzętami nie można się porozumieć, trzeba polegać na intuicji oraz doświadczeniu, a tego Nickowi nie brakowało.

- To bardzo łagodne zwierzę - stwierdził, spodziewając się, że w trakcie badania Scottie ugryzie go lub kopnie. - To twój pierwszy kucyk?

- Nie. - Nie odrywała twarzy od szyi Scottiego. - Najpierw miałam Patcha, potem Nutmega. Scottie pracował dla RDA.

Hamish ściągnął brwi, starając się rozwinąć ten skrót, za to Nick od razu wiedział, o co chodzi.

- Aaa, woził niepełnosprawnych. Nic dziwnego, że jest taki łagodny. Charlotte, co tu się stało? - Dotknął blizny na brzuchu. - Wygląda całkiem świeżo.

- Rak - odparła przez zaciśnięte zęby. - Rak okrężnicy. Był operowany rok temu, żeby... żeby było mu wygodniej. Dobrze to zniósł, ostatnio nawet trochę przybrał na wadze. Myślisz, że to atak serca?

Nick osłuchiwał wzdęty brzuch, cały czas przemawiając do cierpiącego zwierzęcia.

- Nie jestem pewien... - Wahał się, w myślach dobierając słowa, ale Charlotte już zrozumiała.

- Tylko do niego nie strzelaj. - Wstała, strzepując słomę z koszuli. - Zrób, co do ciebie należy, ale nie chcę, żeby został zastrzelony.

- Nie będę strzelał. Uśpię go. Zostaniesz przy nim?

- Nie.

- Chcesz się z nim pożegnać?

- Już to zrobiłam. - Szczękała zębami tak głośno, że Hamish chciał ją przytulić, ale coś w jej postawie podpowiadało mu, że sobie tego nie życzy. - Mogę już teraz ci zapłacić? Nie chcę otrzymać rachunku za trzy tygodnie... Chcę wszystko załatwić dzisiaj.

- Nie wezmę żadnych pieniędzy - odparł Nick, spoglądając na kucyka. Po raz kolejny przypomniał sobie, dlaczego wybrał ten zawód. - Pomyśl, ilu dzieciakom ten zasłużony staruszek przywrócił uśmiech.

Pociągnęła nosem, odwróciła się w stronę drzwi, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Znowu przyklęka przy kucyku i pocałowała go po raz ostatni.

W domu zapanowała grobowa atmosfera. Hamish ze ściśniętym sercem patrzył, jak Charlotte napełnia

imbryk, nie przestając mówić, jakby w stajni nic się nie działo.

- Pewnie padasz z nóg. Bailey przez całą noc nie dał ci zmrużyć oka, a teraz ja... - Wlała gorącą wodę do jego kubka, ale zapomniała o kawie, za to wsypała kilka kopiastych łyżeczek cukru i dolała tyle mleka, że się przelało. Paplała o wszystkim i o niczym, a on w milczeniu pił tę lurę.

Trzymała się nawet wtedy, gdy po padłego kucyka przyjechała ciężarówka. Uśmiechała się do Bailey'a, karmiła go naleśnikami, które sama usmażyła, a później robiła porządek na kuchennym blacie. Hamish obserwował ją, huśtając Bailey'a na kolanie.

Nerwy jej puściły, gdy ciężarówka odjeżdżała.

Posadził Bailey'a na podłodze i podszedł do kogoś, kto tego dnia potrzebował go bardziej. Trzymał ją w ramionach, gdy ciężarówka przejechała pod kuchennym oknem.

- Ta-ta - piszczał obrażony Bailey, ale on nawet tego nie słyszał. Trzymał ją mocno i gładził po głowie, by w tak dramatycznej chwili odgrodzić ją od rzeczywistości.

- Prawdę mówiąc, dobrze się stało. - Siedziała z podkulonymi nogami na kanapie, ściskając kubek z gorącą czekoladą, a Hamish cierpliwie jej wysłuchiwał.

Ona taka jest, pomyślał chyba po raz setny tego dnia.

Bardzo kochała tego kucyka i na pewno z żalu serce jej pęka, ale poza tym skromnym przejawem, kiedy odjeżdżała ciężarówka, była... no cóż, była sobą. Gadatliwą, radosną i piekielnie obiektywną Charlotte.

- Był baaardzo stary... - Uśmiechnęła się smutno.
- Przynajmniej już nie będę martwić się rachunkami za jego leczenie. Wydałam na niego bająnskie sumy.

- Na niego szły wszystkie twoje pieniądze?

- Co do grosza. I nie tylko moje - przytaknęła. -
Oszczędzałam na nowy samochód i już miałam wybrać kolor, kiedy okazało się, że Scottie ma raka. Strasznie cierpiał. Najpierw chciałam go uśpić, ale potem pomyślałam, że dam mu kilka tygodni bez bólu. Operacja kosztowała majątek, a potem trzeba było płacić za leki. Przeżył dłużej niż rok, więc pieniądze płynęły i płynęły...

- Chyba był ci bardzo bliski. - Chciała ją sprowokować do wynurzeń. - Tyle na niego wydałaś, wiedząc...

- Że niewiele mu to pomoże? No cóż, już po wszystkim. Idę spać.

- Gdybyś chciała porozmawiać, to pamiętaj, że tu jestem. Albo jeszcze posiedź. Otworzę wino...

- I będziesz patrzył, jak roztkliwiam się nad Scot-tiem. - Pokręciła głową. - Hamish, od dawna wiedziałam, że ten dzień kiedyś nastąpi. Prawdę mówiąc, odczuwam ulgę, że już jest po wszystkim.

Na górze wyszorowała zęby, wyszczotkowała włosy i powlokła się do sypialni. Rozebrała się i położyła spać. Wpatrując się w sufit, słyszała, jak za jej przykładem Hamish idzie do swojej sypialni.

Leżąc, słyszała, jak Fitz rzeniem wzywa przyjaciela, który zawsze stał u jego boku. Trudno było jej tego słuchać.

- Przestań.

Wstała, zamknęła okno i wróciła do łóżka. Usilnie starała się zasnąć, myśleć tylko o sprawach banalnych.

Bała się, że jeśli teraz się rozpłacze, nigdy nie przestanie ronić łez. Przewracała się niespokojnie na łóżku, poprawiała poduszkę, ale sen nie przychodził, aż w holu zadzwonił telefon. Wówczas Bailey dołączył do Fitz'a, wzywając tatę, podczas gdy wszystkie inne dwulatki wołają mamę.

Nienawidziła tego okrutnego świata.

- Charlotte... - Pukanie. Moment później skrzypnęły drzwi. - Dzwonili ze szpitala. Nie mam dzisiaj dyżuru pod telefonem, ale zawiadomiono szpital, że w jednym z domów na przedmieściach wybuchł pożar. Podobno groźny.

- Jedź! - zawołała zmienionym głosem. Ale przyczyną tej zmiany nie była późna pora.

- Mogę zapalić światło?

Nie chciała, by to robił, nie chciała, żeby się upewniał, czy jest w stanie zadbać o jego syna. Ale on, nie czekając na przyzwolenie, otworzył szerzej drzwi i włączył światło. Usiadła, okrywając się prześcieradłem, a on patrzył, starając się nie myśleć, że pod tym przykryciem jest naga.

- Powiedziałem, że ty też przyjedziesz. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem. Tam jest sześćoosobowa rodzina. Dzwoniłem już do Belindy. Podrzucę jej Bailey'a.

Błyskawicznie włożyła uniform. W tym czasie Hamish obudził synka i przeniósł go do jeepa. Na szczęście bez pytania usiadł za kierownicą.

Belinda już stała na podjeździe, otulona szlafrokiem. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej nocną akcją.

- Powodzenia - zawołała za nimi, wchodząc z Baileyem do domu.

- Biedne dziecko.

- Nie dzieje mu się nic złego - zauważyła Charlotte bez przekonania. Miała teraz próbkę tego, jak chaotyczne jest życie Bailey'a i Hamisha, jak skomplikowana jest jego sytuacja zawodowa.

Mimo to...

Popatrzyła na jego ostry profil i ściągnięte rysy, bo już przygotowywał się do czekającego go zadania. Nieraz widziała go w akcji, jak zakasuje rękawy w izbie przyjęć, jak uczy młodszych lekarzy. Podziwiała jego wiedzę i czuła, że gdyby w jej rodzinie stała się jakaś tragedia... chciałyby, żeby ich bliskich w progu szpitala powitał Hamish Adams.

Miałby z tego zrezygnować?

A gdyby nawet na to się zdecydował, to zmarnowałby swój wielki talent.

- Potrzebne ci to jak dziura w moście - rzucił, spoglądając na nią.

- To samo mogliby powiedzieć ci ludzie, którym pali się dom.

- Zawsze byłaś taka twarda? - Włączył migacz, by skrócić na podjazd pod szpitalem. Oboje spodziewali się dużego ruchu w szpitalnym holu, licznych karettek i wozów strażackich przed szpitalem.

Gdy stwierdzili, że nic się nie dzieje, ogarnęło ich nieprzyjemne uczucie.

- Hamish! - Biegli korytarzem, gdy zatrzymała ich Helen. Stała z komórką w ręce. - Właśnie do ciebie dzwonię. - Przegarnęła ręką siwe włosy. Była wyraźnie zmęczona tygodniem nocnych dyżurów i przegnę-biona wiadomością, którą jej przyszło im przekazać.

- Nie będziecie potrzebni. - Unikając ich wzroku,

ciaśniej otuliła się grubym swetrem. - Przed chwilą dzwoniła dyspozytorka. Nikt nie ocalał.

- A strażacy? - zapytał Hamish. - Rany, poparzenia, zacczadzenie...

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nawet nie mogli bliżej podejść. Teraz tylko dogaszają. Koroner już jedzie na miejsce wypadku, również ekipy telewizyjne. Przepraszam za to wezwanie. Myślałam, że...

- Helen, wzywaj mnie za każdym razem - wszedł jej w słowo. - Przykro mi tylko, że się nie przydaliśmy.

Droga do domu ciągnęła się w nieskończoność. Nie musieli jechać po Bailey'a, nie wracali do normalności, która przesłoniłaby im koszmar, który tej nocy się wydarzył. Milczeli pogrążeni każde we własnych myślach, czując, jak opada adrenalina, która wcześniej poderwała ich z łóżek. Dla Charlotte było to istne piekło.

- Chyba dam się skusić na kieliszek wina - powiedziała, podchodząc do lodówki. - Dyżur mam dopiero po południu. Tobie też nalać?

- Lepiej nie. Muszę o świcie odebrać Bailey'a, a na ósmą wracam do szpitala. Częstuj się.

Ostrożnie jak małe dziecko, któremu podano lekarstwo, upiła łyżeczek, potem drugi. Była zła, że łyżki napływają jej do oczu, zła, że Hamish to widzi.

- Masz prawo być nieszczęśliwa.

- Wiem. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Staram się nabrać dystansu do tego, co się stało.

- Nie tędy droga, Charlotte. Wiesz o tym dobrze. Smutek potęguje smutek z powodu tego, co cię spotkało.

- Nie porównuj sześćoosobowej rodziny z kucykiem - prychnęła. - Nie ma porównania między sześciorgiem ludzi i jednym ślepy... głupim... starym kucykiem! - Łzy ścisnęły ją za gardło.

Tym razem Hamish się nie poddał. Oto ma przed sobą najprawdziwszą, najbardziej otwartą Charlotte. Przeczynał, że to się stanie i teraz postanowił sobie, że tym razem Charlotte mu się nie wymknie.

- Kto tu porównuje? - Położył jej dłonie na ramionach. - Gdyby to było możliwe, śmierć Emmy nie byłaby aż tak bolesna. Mówię tylko...

- Więc lepiej nie mów! - wycodziła przez zęby, podnosząc rękę, by go odepchnąć i uciec na schody. Zamknąć się w pokoju, rzucić z siebie ten przeklęty uniform, który okazał się niepotrzebny, albo pobiec do stajni i ukryć twarz w grzywie Fitz'a.

Chciało jej się krzyczeć na cały głos w imieniu tych wszystkich, którzy tego wieczoru czuli się samotni, smutni i przerażeni. Tych wszystkich, którzy tęsknili za kimś bardzo bliskim. Cassie.

Nigdy z nikim nie podzielił się tym bólem, nic go nie złagodzi, ani kieliszek wina, ani starannie dobrane słowa pociechy. Nic.

Nagle poczuła na wargach jego usta.

Zalała ją fala spokoju, chociaż powinno być odwrotnie!

Te wargi stopniowo uciszały ból w jej umyśle.

Przygarnął ją do siebie silnymi dłońmi.

Zasmakowała w jego wargach i języku. Jak rozkosznie jest znaleźć się w ramionach kogoś tak silnego, kto na chwilę przejmie wodze... Nie byle kto, lecz Hamish.

- Charlotte... - Odsunął się lekko i spoglądał na nią pytającym wzrokiem. Czały się w nim pytania, być może nawet poczucie winy, ale ona nie chciała słyszeć, że to niemożliwe, nie chciała słyszeć o wyrzucach sumienia, które dadzą o sobie znać nazajutrz, bo ta iskra nadziei na szczęście, którą w niej rozniecił, nieoczekiwanie ukołła jej smutek, który wydawał się nieukojoyony.

- Czy nie należy się nam odrobina szczęścia? - wyszeptła. - Nawet jeżeli tylko dzisiaj?

Nie wiadomo, jak dotarli do jego sypialni. Charlotte pamiętała jedynie, że wspinając się na piętro, całowali się namiętnie, a jej ubrania porozrzucane w holu i na schodach znaczyły drogę do sypialni: Do końca życia nie zapomni jego zachwytu, gdy stanęła przed nim rozebrana. Pochłaniał ją wzrokiem, pieścił, rozgrzewał, mimo że jej nie dotykał.

- Charlotte, jesteś piękna.

Nie miała wątpliwości, jak to zinterpretować. Nuta zdumienia w jego głosie podpowiadała jej, że do tej pory wykluczał możliwość wypowiedzenia takich słów pod adresem innej kobiety niż Emma.

- Tobie też niczego nie brakuje.

Pocałował ją w usta, po czym wargami zaczął muskać jej szyję, a ona poczuła, że już nie ma odwrotu.

Uszczęśliwiona przywarła do niego całym ciałem.

- Jesteś zupełnie inny. - Odsunęła się, by objąć go wzrokiem.

- Wiem - odparł przez ściśnięte gardło. - Wiem, że teoretycznie jesteśmy bardzo różni, ale...

- Nie w tej sytuacji. - Zaśmiała się cicho, jednocześnie speszona i podniecona. Pogładziła go nieśmiało

po udzie. - Podoba mi się, że jesteś taki włochaty - wyznała.

- A mnie, że jesteś taka gładka. - Jego ręka niespiesznie gładziła jej pośladek.

- A tutaj? - Poprowadziła jego dłoń do piersi, których widok od samego początku rozpalał jego wyobraźnię. Z przymkniętymi powiekami czekała na jego werdykt.

- Zdecydowanie ciekawsze niż moje.

- Jesteś tego pewien?

Uznał to za zachętę z jej strony, ale okazało się, że się pomylił. Chwilę później bezwiednie chwycił ją za włosy, gdy zaczęła pieścić jego sutki. Gdy skubnęła je zębami, poczuł, że lada chwila eksploduje. Już miał ją pchnąć na łóżko i posiąść pospiesznie, gdy podniosła na niego wzrok i przerwała pieszczoty.

- Możemy?

- Nawet musimy - odparł.

Uznała, że może mu wierzyć, że razem podejmą ten cudowny taniec, w trakcie którego przestaną być tylko kobietą i mężczyzną, a staną się parą, która nawzajem sobą się delektuje, adoruje, poznaje. Zanurza się w cudownym balsamie dotyku oraz pieszczot, które koją rozpacz i przenoszą w inną rzeczywistość.

Nie spieszyli się, bo czas im sprzyjał. Smutek pozostał z boku na tak długo, jak tego potrzebowali, a oni przyjęli to z wdzięcznością.

Hamish okazał się cudowny, mimo że niesamowicie wymagający, ale i ona była zachłanna. Drżała z rozkoszy, ponaglając go, gdy jego palce poznawały jej najbardziej intymne zakątki.

Ten dzień, ten wieczór były koszmarem, ale złe

wspomnienia zblakły, gdy w końcu ją posiadał, wypełnił, zamknął w ramionach. Łatwiej było się poddać niż z tym walczyć, łatwiej zaufać mu i odwzajemnić to uczucie. Moment szczytowy był dla niej tak porażający, że z pewnością przyćmiłby słońce.

Jego doznania były jeszcze silniejsze. Nigdy nawet mu się nie śniły. Wątpił też, czy coś takiego może się powtórzyć. To był nie tylko seks. Niesamowite było wszystko. Cała Charlotte.

Niespodziewanie jego łóżko przestało być za duże, gdy znalazła się w nim Charlotte. Przygarnął ją do siebie, czując, że zasnęła, a sam wpatrzony w sufit usiłował pojąć to, co do tej pory wydawało mu się niemożliwe: oto u jego boku leży kobieta, która nie jest Emmą, a on po raz pierwszy od bardzo dawna czuje się zrelaksowany i szczęśliwy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ten, kto twierdzi, że o poranku rzeczywistość wygląda lepiej, na pewno nie obudził się oko w oko ze ślubnym zdjęciem Hamisha i jego uśmiechniętej a nieżyjącej żony. Ani nie poczuł, jak jego ciało ożywa, a ramię, którym obejmował ją przez całą noc, przyciąga, po czym sztywnieje, gdy wciąż zamroczony snem umysł podpowiada mu, że to nie Emma.

Okej, myślała Charlotte racjonalnie, nie uciekł z krzykiem z łóżka, nawet ją pocałował i się uśmiechnął oraz udawał, że nie żałuje, ale z powodu poczucia winy atmosfera stała się tak gęsta, że niemal miała w ustach jej smak.

- Wezmę prysznic. - Wstał. Nawet starał się patrzeć jej w oczy, ale mu nie wyszło. - Wolałbym się nie spóźnić.

- Rozumiem. - Posłała mu szeroki i sztuczny uśmiech, który zgasł, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi sypialni. Usłyszawszy szum wody, zerwała się z łóżka.

W szafie nadal wisały ubrania Emmy. Na samym dnie stały rzędami jej buty, jakby chciały rzucić jej wyzwanie, by spróbowała je włożyć.

Cała sypialnia prawdopodobnie wygląda tak samo jak w dniu, w którym Emma umarła. Jakby tylko wy-

skoczyła na zakupy albo gdzieś na parę dni wyjechała. Charlotte poczuła, jak wzbierają w niej mdłości.

Przez cały ten czas Hamish nic nie zmienił.

Pchana ciekawością wysunęła szufladkę Emmy w nocnym stoliku. Natknęła się tam na książkę, tę samą, która jakieś dwa lata wcześniej bardzo się jej podobała. Była to powieść, którą mogła czytać i zrozumieć tylko kobieta. Z oczami pełnymi łez zauważyła zakładkę, kilka kartek przed końcem. Do tego miejsca Emma doczytała. Szkoda, że nie był jej dany jeszcze jeden dzień, jeden wieczór, by poznała zakończenie. Ostrożnie odłożyła książkę.

Na toaletce przykuł jej wzrok pierścionek w miseczce ze szkła oraz druga fotografia.

Poczuła, że musi coś powiedzieć.

- To dla niego nic nie znaczy - zwróciła się do nieboszczki.

Spoglądała na roześmianą Emmę w bikini mimo zaawansowanej ciąży. Sądząc po jej ciepłym i pełnym miłości spojrzeniu, zdjęcie to na pewno robił Hamish.

- On za tobą bardzo tęskni, a tej nocy... - Zawahała się. - Tej nocy brakowało mu ciebie jeszcze bardziej. Każe jej się wyprowadzić.

Tego była pewna.

Nie, nie dziś. Hamish jest zbyt dobrze wychowany, żeby całować, a potem zniknąć. Ale jeżeli ona nie weźmie tego w swoje ręce, za tydzień albo za miesiąc znajdzie się na bruku. Ta noc wydarzyła się za szybko.

Zdecydowanie za szybko.

Na moment zamknęła oczy, żeby przypomnieć sobie intymne pieszczoty i wszechogarniające ciepło, to, co ich połączyło. A jak Cassie by się zachowała? Po

raz pierwszy od lat nie potrafiła sobie wyobrazić, co zrobiłaby jej siostra. Piętnastolatki zakochują się na zabój, piętnastolatkom wydaje się, że to już jest miłość...

Kobiety dwudziestoosmioletnie wiedzą, co to prawdziwa miłość.

Pokochała Hamisha.

Nie zawrócił jej w głowie, nie zadurzyła się, nie polubiła go mniej lub bardziej...

Jakimś cudem, mieszkając pod jednym dachem z przystojnym lekarzem i jego rozkosznym synkiem, zdążyła go pokochać. Gdy zdała sobie z tego sprawę, upuściła pierścionek z powrotem do miseczki i odwróciła wzrok od fotografii. Jednocześnie poczuła ułamek wyrzutów sumienia, które teraz na pewno dręczą Hamisha. Rozpaczliwie szukała rozwiązania, pragnąc w jakiś sposób wymazać tę noc po to, by Hamish jej nie znienawidził.

Gdyby miała nieco więcej czasu, być może on też by ją pokochał.

Musi coś z tym zrobić. I to szybko.

- Ojej! - Wlewając w kuchni wodę do kubka z kawą, powitała Hamisha promiennym uśmiechem.

Świeży i pachnący, wycierał głowę ręcznikiem, udając, że nic się między nimi nie zmieniło.

- Co miałaś na myśli, mówiąc „ojej”?

- Nie mów, że nie myślisz o tym samym.

- Chętnie porozmawiam wieczorem.;. - Odłożył ręcznik, by pospiesznie spakować torbę Bailey'a, ale ona nie chciała o tym rozmawiać wieczorem, ponieważ wiedziała, że w ciągu tych kilkunastu godzin

Hamish wpadnie na rozwiązanie, o którym ona nie chce słyszeć.

- Hamish, spokojnie, nie oczekuję, że na oddziale będzie czekał na mnie bukiet róż. Ta noc była fantastyczna, ale oboje doskonale wiemy, że...

- Że co? - Nareszcie na nią spojrzął.

- Że to się nie powinno wydarzyć. Mieliśmy wczoraj bardzo zły dzień. Ty cierpiełeś z powodu Emmy, ja z powodu Scottiego, potem ten pożar...

Wzruszyła ramionami. Zrobiłaby wszystko, by go przekonać, że to, co się wydarzyło w nocy, te chwile szczęścia, ten mały kosmos, który zaczęli razem tworzyć, nie musi się skończyć. Przeniosła wzrok na pampersy, które trzymał w dłoni, bo to było łatwiejsze od patrzenia mu w oczy. On jednak nie zrozumiał tego apelu.

- Za ciężkie brzemię odpowiedzialności na twoje barki? - wycodził przez zęby, rzucając jej nieprzychylnie spojrzenie spod opuszczonych powiek, mimo że unikała jego wzroku. - Wiesz, co ci powiem? Następnym razem, jak nie będziesz mogła zasnąć, wyświadczy nam obojgu przysługę. - Dotknął butelki, którą odkorkowała wieczorem. - Wypij drugi kieliszek wina.

- Jesteś absolutnie pewien, że nic nie ma między wami...?

Hamish ze zmarszczonym czołem oglądał kliszę rentgenowską. Wcale nie musiał tego robić, bo już w chwili, gdy wieszał zdjęcie, pośród licznych zrostów zidentyfikował problem: świeże złamanie kości promieniowej, a to oznacza gips, temblak i kontrolę za dwadzieścia cztery godziny. Skupiał się jednak tak,

jakby chodziło co najmniej o obraz mnogich obrażeń ciała.

- Słucham?

- Charlotte Porter. - Cameron nieco się zaczerwienił. - Chciałem się z nią umówić i chciałem się upewnić... hm... -jąkał się. - Wiem, że mieszkacie razem.

- Charlotte opiekuje się moim synem - mruknął Hamish. - Mieszka u mnie, tak, owszem, można to tak ująć. Że mieszkamy razem.

- Chciałem się upewnić, że nie jesteście... - Cameron był już czerwony jak burak. Aby wyratować go z tej opresji, należałoby powiedzieć mu prawdę: że po jej porannym przemówieniu w kuchni nic, absolutnie nic ich nie łączy. Charlotte mieszka u niego w zamian za opiekę nad Baileyem. Niestety, nie przeszło mu to przez gardło.

Kiedy po przebudzeniu zorientował się, że leży obok Charlotte, miał takie wyrzuty sumienia, że nie mógł na nią patrzeć. Czuł się winny nie tylko wobec Emmy, ale i wobec Charlotte.

Wieczorem była zrozpaczona i bezbronna. Powinien był wykazać większą samokontrolę, powinien był pójść spać, a nie...

Cholera, martwił się, ona na pewno sobie pomyśli, że ją wykorzystał, chociaż jest w tym odrobina prawdy. Nawet nie przychodziło mu do głowy, że to ona mogła wykorzystać jego! Nie był przygotowany na to, że gdy zejdzie rano do kuchni pełen skruchy, by jej powiedzieć, że jeśli uważa, że się pospieszył, to jest skłonny nieco wyhamować, ona spokojnie, lejąc wodę do imbryka, da mu do zrozumienia, że dla niej było to jedynie zbieranie doświadczeń.

- Charlotte jest bardzo miła - rzucił Cameron. - Wesoła i beztroska...

- Zwracam ci uwagę, że aktualnie naszym tematem są złamanie - burknął Hamish - a nie potencjalne zalety opiekunki mojego syna.

- Chciałem się upewnić, że nie jest niczym więcej.
- Po twarzy Camerona przebiegł nerwowy uśmiech.
- Chciałem mieć pewność. Jesteś od niej starszy, więc... - brnął dalej. - Masz dziecko i w ogóle... Mam wrażenie, że nie pasujecie do siebie, ale wolałbym nie nadebrać szefowi na odcisk.

- Dosyć! Między nami nic nie ma. I chociaż masz mnie za starca, nie jestem jej kochankiem ani ojcem. Charlotte nie potrzebuje mojego pozwolenia, żeby umawiać się z facetami. - Wskazując na czerwoną kropkę na kliszy, spojrzął na Camerona. - Gdzie jest to złamanie?

- Tutaj. - Cameron drżącym palcem wskazał odpowiednie miejsce.

Hamishowi zrobiło się głupio. Zdjęcia pacjentek cierpiących na osteoporozę dla większości młodych lekarzy bardzo często były kompletnie nieczytelne, lecz Cameron bezbłędnie wypatrzył nową zmianę.

- I co teraz?

- Gips, temblak, środek przeciwbólowy, kontrola za dwadzieścia cztery godziny - recytował Cameron.

- Coś przeoczyłem? - dodał niepewnym głosem, gdy Hamish zwlekał z odpowiedzią.

- Nic - odparł Hamish ironicznym tonem. - Absolutnie nic.

- Czy pracuje u was pielęgniarka o imieniu Char-

lotte? - Miał przed sobą przystojnego młodzieńca z wiązanką kwiatów i okazałych rozmiarów bombonierką, ale nie poprawiło to jego nastroju.

Dlaczego przy stanowisku pielęgniarek Charlotte nie otworzy agencji towarzyskiej?!

- Charlotte? - Udawał, że jest zaskoczony. - Nie jestem pewien... Proszę zapytać w recepcji.

- Dzień dobry, doktorze! - Chowając komórkę do kieszeni, energicznym krokiem podszedł do nich Vince King i mocno uściśnął dłoń Hamisha. - To jest doktor Adams - wyjaśnił synowi. - Ten, o którym ci opowiadałem. Ronan dzisiaj wychodzi do domu - poinformował Hamisha. - Opowiadałem synowi, ile pan dla niego zrobił. Dla mnie też. Przed wyjazdem chcieliśmy podziękować i się pożegnać.

- O rany! - To dziwne, że akurat tego dnia los przypomina mu, jak trudno byłoby mu rozstać się z oddziałem ratownictwa oraz dlaczego nie potrafiłby zmusić się do pracy w zarządzie albo do przekazywania studentom, jak się zachować w takich chwilach, bo oto stało przed nim blisko dwumetrowe chłopisko, w którym z trudem można było rozpoznać nieprzytomnego i bezwładnego pacjenta z reanimacji. Człowieka, który jeszcze niedawno był o włos od śmierci.

Ale Charlotte pamiętała go doskonale. Podchodząc do nich z butelką coli w ręce, aż zagwizdała z podziwu.

- Ronan! No proszę! - zawołała. - Ledwie cię poznałam w tym ubraniu.

- Oto Charlotte - mruknął Hamish.

Nareszcie pojął, kim jest jej tajemniczy adorator.

Obserwował, jak zawstydzony Ronan oddaje bukiet skrepowanemu ojcu, który z kolei wręcza go uradowanej Charlotte, a po chwili wahania czule ją obejmuje.

- Była siostra wspaniała. Cierpliwie mnie siostra wysłuchiwała, a potem, kiedy wiadomości nie były dobre, uczciwie mi wszystko wyjaśniła. Jestem siostrze bezgranicznie wdzięczny.

- Nie ma sprawy. O rany... - Z uznaniem lustrowała swojego byłego pacjenta. - Ronan, jesteś chodzącym dowodem na to, że cuda są możliwe.

- Słyszałem to już wiele razy. Uratowały mnie kalosze. Bez nich usmażyłbym się jak kiełbaska na grillu.

- Zostały jakieś trwałe uszkodzenia? - spytał Hamish.

- Za kilka tygodni mam przyjechać na badania kontrolne - mówił Ronan. - Ciągłe mam poparzone, stopy i dwa razy dziennie trzeba zmieniać opatrunki. - Dopiero teraz Hamish zauważył jego ponadwymiarowe adidas na obandażowanych stopach. - Ale nie narzekam. - Roześmiał się cicho. - Już nigdy na nic nie będę się użalał. Zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo mi się udało.

- Nie zapominaj o tym. - Charlotte nagle spoważniała, po czym serdecznie go wyściskała. - Ani na chwilę, rozumiesz?

Niestety magiczna różdżka, która uratowała Ronana Kinga, nie dotarła na oddział pediatriczny. Pomimo intensywnej kuracji przeciwko łuszczycy, zakulisowych rozmów ze szkołą, interwencji psychologów oraz pracowników społecznych Andy był wyjątkowo

ponury. Jego smutek był tym większy, że nowy kolega został już wypisany ze szpitala i pojechał do domu.

- Jakie masz ładne okulary.

- Dzięki. - Nie patrzył na nią, próbując się nie rozpłakać. Bez trudu domyśliła się przyczyny.

Leki przeciwłuszczycowe okazały się skuteczne, psycholog dziecięcy robił, co w jego mocy, regularnie rozmawiając z chłopcem, pracownik społeczny poinformował kierownictwo szkoły o niestosownym zachowaniu jego kolegów, ale z punktu widzenia Andy'ego najtrudniejsze było dopiero przed nim.

- Jutro jadę do domu. A w środę do szkoły.

- Co ty na to?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Trochę się boję.

- To nic złego, że trochę się boisz.

- Nauczyciele rozmawiali z tymi, co mi dokuczają.

- Charlotte kiwała głową. - Mama powiedziała, że wezwali też ich rodziców.

- To bardzo dobrze.

- Dobrze?! - zawołał, dając upust napięciu. - Kazali mi nikomu o tym nie mówić! - Rozpłakał się. Był zły, przestraszony, czuł się bezradny. - A jak będzie jeszcze gorzej?

- Andy, sprawa przestała być tajemnicą, a to może pomóc.

- Albo wszystko zepsuć.

- Czy może być jeszcze gorzej, niż było? - zapytała, zniżywszy głos.

- Chyba może. A jak oni nie przestaną?

- Będiesz dzielny i komuś o tym powiesz.

- Tak zrobiłem - chlipnął. - Mówiłem o tym siostrze.

- Postąpiłeś słusznie. Wiem, że to bardzo trudne i uważam, że byłeś bardzo odważny. Wiem też, że nie wierzysz, że dorośli potrafią to pojąć, myślisz, że nikt cię nie rozumie...

- Boję się, że znowu się zaczniesz.

- To nie jest wykluczone - jej słowa wyraźnie go zaskoczyły - ale tym razem nie będziesz się ludzi nadzieją, że coś się zmieni na lepsze albo minie. Powiesz o tym komuś za każdym razem, niezależnie od tego, jak trudny będzie ten pierwszy raz.

- Siostra tak robiła?

- W końcu tak. - Pokiwała głową. - Andy, myślę, że ci chłopcy nie mają teraz lekko. Szkoła bardzo ostro zareagowała, kiedy dowiedziała się, co się działo.

- Co szkoła może? Siostra tego nie zrozumie. - Odwrócił się do niej plecami. - Siostra mnie okłamała. - Zerwał z nosa okulary i odłożył na stolik.

- Kiedy cię okłamałam? - Ściągnęła brwi. - Odwiedzałam się za każdym razem, kiedy ci to obiecałam.

- Nie o to mi chodzi... Kiedy siostra powiedziała, że wie, jak człowiekowi jest źle i jak się boi, kiedy mu dokuczają. Wiem, że to było kłamstwo.

- Bardzo bym chciała, żeby tak było - westchnęła - ale nie skłamałam.

Spoglądała na poważną twarz chłopca, widząc w jego oczach niedowierzanie, i nagle poczuła, że on musi jej zaufać, że to zalęknione dziecko powinno się dowiedzieć, że osoba dorosła, w jego oczach także piękna, kiedyś mogła znajdować się w takim samym jak ono położeniu.

- Andy, teraz muszę już wracać na swój oddział,

ale po dyżurze przyjdę do ciebie i coś ci opowiem. -
Wzięła głęboki wdech. - Opowiem ci, jak było ze
mną.

- Obiecuje siostra?

Po chwili wahania przytaknęła. Nie miała sumienia
przytłaczać go wszystkimi złymi wspomnieniami, ale
uznała, że nawet fragment prawdy o niej może okazać
się przydatny.

- Obieuję.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Przepraszam - wyszeptała, przytulając się do Fitz. - Pewnie nie możesz zrozumieć, co się stało, dlaczego do ciebie nie przychodzę, dlaczego mamy nowy dom i dlaczego nie ma Sco... - W dalszym ciągu nie mogła wymówić imienia kucyka, ale obiecała sobie, że to się zmieni.

Rozmawiając z Andym, zasiedziała się w szpitalu. Psychiatra, który wymyślił teorię, że grzebanie w przeszłości jest zdrowe, grubo się mylił. Po godzinach spędzonych u Andy'ego kolejną godzinę przesiedziała w szpitalnym bufecie, kompletnie wyczerpana, popijając colę. Zbierała siły, by sięść za kierownicą.

Gdy dojechała do domu, ledwie dowlokła się do stajni. Na szczęście Hamish wieczorem pomyślał o Fitzu i przykrył go derką. Powinna mu podziękować... albo nie.

W pracy był opryskliwy, a kiedy wróciła do domu poprzedniego wieczoru, już spał. A gdy o drugiej w nocy zderzyli się w korytarzu, on w drodze do płaczącego Baileya, ona do toalety, odskoczył od niej jak oparzony.

Spoglądając na dom i światło rozbłyskające w kuchni, zastanawiała się, jak powinna teraz go traktować, co zrobić z tą skomplikowaną sytuacją, by się jeszcze bardziej nie pogorszyła.

Może powinna się wyprowadzić, pomyślała, siedząc Fitza o poranku. Może gdyby widywali się rzadziej, doszliby w końcu do jakiegoś porozumienia. Już nie musi wydawać pieniędzy na leczenie Scottiego, więc mogłaby wrócić do schroniska, wziąć dodatkowe dyżury z myślą o Fitzu, a kota i psa oddać do przychodni, dopóki nie znajdzie mieszkania, w którym zwierzaki są mile widziane.

Kto wówczas zajmie się Baileyem?

Na pewno ktoś się znajdzie, ale nie będzie to ona. Zrobiło się jej bardzo przykro.

Jeszcze bardziej przykra wydała się jej perspektywa stracenia Hamisha.

W bardzo krótkim czasie zakochała się w Baileyu, w jego łobuzerskim uśmiechu i w tym, że ją uwielbiał. Widziała w nim miniaturkę Hamisha, ale zadowolona. Czowała, że gdyby go teraz zobaczyła, na pewno by się rozpłakała. Była zła na siebie o to, że wszystko popsuła, a jest za słaba, żeby sobie odpuścić.

Podobnie jak ona, Fitz nie miał ochoty na poranną przejażdżkę. Trzymany w boksie utył i się rozleniwiał, a co gorsza, zapomniał wszystkiego, czego się nauczył. Musiała nieźle się napracować, by raczył zrobić parę kroków.

- Rusz się, Fitz! - Nogi bolały ją niemiłosiernie, a znajdowali się dopiero kilka kroków za bramą. - Ruszaj! - krzyknęła, z całej siły ściskając go kolanami.

Niespodziewanie koń puścił się kłusem, zmobilizowany raczej gniewnym tonem głosu niż jej siłą. Tak ją to zaskoczyło, że lewa stopa wysunęła się jej ze strzemienia i przez moment, gdy koń rzucił się do przodu, a całe jej ciało przechyliło się na prawo, nie-

wiele brakowało, by spadła. Resztkami sił, których miała tak mało tego poranka, zatrzymała go i zeskończyła na ziemię.

- Przepraszam. - Była bliska łez, przestraszona i zła na siebie, że jest taka niedobra dla Fitz, który tęskni za przyjacielem. - To moja wina, Fitz, nie twoja. Po dyżurze pojedziemy na spokojny spacer.

Oddechnęła głębiej kilka razy, by ochłonać, po czym zaczęła prowadzić go do stajni. Trwało to w nieskończoność. Samo zdjęcie uprząży kosztowało ją dużo wysiłku. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że przyczyną jej podłego nastroju mogą być nie tylko trudne dni...

- Nie w tym tygodniu - jęknęła.

Przeziębienie albo grypa są jej zupełnie niepotrzebne. Za dużo ma na głowie. Nadchodzący tydzień jawił się jej jako koszmar. Miała ochotę czym prędzej znaleźć się w domu, we własnym łóżku, nakryć się z głową prześcieradłem i przeczekać, aż to wszystko się przewali.

Jeżeli ma jeszcze dokąd wracać.

Dla Bailey'a była piękna nawet w ubłoconych spłowiałych bryczesach i dziurawym swetrze.

- Dal-dot! - Bailey na jej powitanie zaczął tłuc łyżeczką w stół.

- Cześć, mały. - Rzuciła mu roztargniony uśmiech.

Hamishowi serce się krajało, gdy nie odrywając wzroku od kromki chleba, którą włożyła do opiekacza, stała odwrócona plecami do dziecka, które ją pokochało.

Gdy mały zaczął kaprysić, uznał, że jego synek

zdecydowanie za bardzo przywykł do jej wylewności. Widząc jego pełne urazy spojrzenie, czuł, że Bailey nie pojmuje, czym zawinił, dlaczego Charlotte nie podchodzi do jego krzeselka i zgodnie z tradycją nie wykrada mu chrupek, dlaczego nie prosi taty, by przeczytał jej horoskop. Kiedy w dalszym ciągu nie odrywała wzroku od tej cholernej grzanki, miał ochotę wstać, chwycić ją za ramię i wyłożyć jej, co myśli o takim zachowaniu.

Ale po co?

Budząc w niej poczucie winy, udałooby mu się wymusić na niej kilka całusów dla Bailey'a, ale potem znowu przyjdzie mu siedzieć i patrzeć na jego smutne spojrzenia.

- Jedz, Bailey. - Odwrócił krzeselko w swoją stronę. - Zjadaj śniadanie.

- Dziękuję, że przykryłeś Fitz'a. - Spojrzała przez ramię. - Utknęłam wczoraj w szpitalu.

Żeby było zabawniej, minionej nocy rozmawiał z Belindą, która akurat miała dyżur. Zadzwoiła z nuddów, bo nic się nie działo.

- Wydawało mi się, że na oddziale był spokój... - Urwał. - Jak przejażdżka?

- Wspaniała.

W milczeniu patrzył, jak Charlotte smaruje grzankę masłem, po czym siada przy stole. Zastanawiał się całkiem poważnie, czy wszystko, co kiedykolwiek powiedziała, przypadkiem nie było kłamstwem.

Widział przez okno, że omal nie spadła z konia, robił wtedy grzanki dla Bailey'a, i serce w nim zamarło, gdy Fitz poniósł. Kiedy zachwiała się w siodle, w pierwszym odruchu chciał wybiec z domu...

Nie doceniłaby tego, pomyślał z goryczą.

- Dal-dot! - Rozpaczliwym gestem Bailey wyciągnął do niej kawałek obgryzionej grzanki, ale ona nawet na niego nie spojrzała.

Hamish nie mógł jej rozgryźć. Kwadrans wcześniej spokojnie odprowadzała Fitz'a do stajni, poklepywała go i do niego przemawiała, a teraz nagle, bez żadnego powodu postępuje niewinną ofiarę rozgrywek między dorosłymi. Poczuję, że dla dobra syna musi interweniować, stopniowo odzwyczajając go od niej, zanim jego ukochana Dal-dot zniknie na dobre.

- Dzisiaj są urodziny Alicii.

Charlotte uniosła brwi.

Bardziej ją interesują zwierzęta niż ludzie, pomyślał ze złością. Dopóki żyją.

- Mojej siostrzenicy - wyjaśnił urażonym tonem.

- Belinda zabierze Bailey'a ze żłobka do siebie, na podwieczorek, więc nie musisz go odbierać.

- W porządku. - Odłożyła ledwie napoczętą grzankę, by sięgnąć po szklankę z sokiem. Wypiła go duszkiem. - Nie jestem głodna. Pójdę wziąć prysznic, a ty, młody człowieku, też się ubierz - zwróciła się do Bailey'a. - Zaraz zejdem na dół, żeby cię zawieźć do żłobka.

- Nie ma takiej potrzeby. - Hamish wyjmował Bailey'a z krzesła. - Dzisiaj zaczynam nieco później. Zabiorę go ze sobą.

- W porządku. - Uśmiechnęła się z przymusem.

Bez słowa wziął Bailey'a na ręce i zaniósł na górę, żeby go ubrać. Starał się robić to jak najdłużej, czekając,

aż Charlotte zamknie się w łazience, żeby dopiero wtedy ruszyć do pracy.

- Cześć, Hamish. - Lucy przerwała rozmowę z jedną z mam i z wypakowaną plastikową torbą ruszyła w jego stronę. - To jest ten nocnik z pozytywką, o którym ci opowiadałam. Miałam go tu dla ciebie zostawić.

- Dzięki. - Uśmiechnął się zdecydowanie cieplej niż do Charlotte. - To bardzo miło, że o nas pamiętałaś.

- Prawdę mówiąc, liczyłam, że cię tu spotkam. - Choć miała mocny makijaż, zauważył, że się zaczerwieniła. - Wiem, że nie masz nikogo. Ja też jestem sama. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy czasami...

- Hm - mruknął niepewnie. - A ja pomyślałem, żeby w któryś weekend zaprosić kolegów Baileya.

- Nie dzieci miałam na myśli!

Gdy szedł na oddział, przyszło mu do głowy, że powinno mu to pochwlebiać, ale czuł jedynie...

Znużenie.

Siedział przy stanowisku pielęgniarek i przeglądał pocztę wewnętrzną. Przy okazji, wychodząc z założenia, że Charlotte już nie będzie go w tym wyręczała, zainteresował się wakacjami. Helen trajkotała bez przerwy, ale on nawet nie udawał, że słucha.

Czy oni wszyscy naprawdę uważają, że to takie proste? Niemal słyszał, co myślą, widział ich zdziwione spojrzenia, kiedy Charlotte u niego zamieszkała. „No, to już półtora roku. Najwyższy czas, żeby zaczął nowe życie...”

To nie kwestia seksu.

Ani znalezienia żony czy matki dla Bailey'a.

I zdecydowanie nie miało to związku z samotnością lub nudą. Wręcz przeciwnie, on uznałby ten stan za luksus.

Po prostu tęsknił za Emmą. I zaczynał tęsknić za Charlotte. Brakowało mu dwóch pięknych kobiet, które go uszczęśliwiały na różnych etapach życia. Jak sobie z tym poradzić?

Może powinien spotykać się z innymi kobietami, by sobie ulżyć? Wykorzystać te zawołane propozycje, żeby przez łóżko wydostać się z tego piekła? W przypadku Charlotte to się sprawdza.

Z zadumy wyrwał go telefon łączący oddział z dyspozytorem karettek. Tym razem Hamish był szybszy od Helen.

- Ukąszenie węża - oznajmił, odkładając słuchawkę i naciskając przycisk alarmowy, aby wezwać zespół do aneksu reanimacyjnego. - Dwunastolatek. Utrata przytomności, spadek ciśnienia.

Jak na swój wiek Jordan Reece był otyły, ale mimo że ogólnie rzecz biorąc, otyłość nie sprzyja zdrowiu, tym razem prawdopodobnie uratowała chłopakowi życie. W stanie Victoria jadowite węże nie należą do rzadkości, zwłaszcza poza miastami, a upalna i sucha pogoda wywabiała je z kryjówek. Jordan został ukąszony w kostkę przez niezidentyfikowany gatunek, kiedy w przerwie między lekcjami bawił się w barakach na tyłach szkoły. Istotną rolę odegrała szybka reakcja kolegów, którzy pobiegli do nauczyciela oraz szkolnej pielęgniarki.

Szkoła wezwała śmigłowiec. Jednak w drodze do

szpitala chłopak stracił przytomność mimo unieruchomienia nogi oraz założenia opatrunku uciskowego. Gdy wwieziono go do izby przyjęć, miał niebezpiecznie niskie ciśnienie oraz drgawki.

Hamish nie tracił zimnej krwi. Wydał polecenie podania krwi, płynów oraz leków, po czym znieczulił chłopca i go intubował, podczas gdy reszta zespołu robiła wszystko, by go ustabilizować.

- Podobno był to wąż tygrysi - stwierdził ratownik, przyglądając się, jak Hamish oczyszcza ranę na kostce. W przypadku ukąszenia przez jadowitego gada konieczny jest specjalistyczny zestaw, dzięki któremu można określić, od jakiego gatunku pochodzi jad. - Jeden z chłopców dobrze mu się przyjrzał. Zna się na węzach.

- Za mało, żeby ta informacja była wiarygodna.
- Hamish potrząsnął głową.

Określenie gatunku węża nie służy do stwierdzenia, czy konieczne jest podanie surowicy, lecz którą surowicę należy podać pacjentowi. W przypadku Jordana czekanie trzydzieści minut na wynik testu nie wchodziło w rachubę, więc Hamish podjął decyzję o zaaplikowaniu dwóch surowic, przeciwko dwóm spokrewnionym gatunkom, wcześniej jednak podał mu środki mające zmniejszyć ryzyko wstrząsu anafilaktycznego.

- Są miejsca na oimie? - Przez pół godziny nie wydał żadnego polecenia, ale sytuacja już zaczynała się normalizować. Mimo to cały zespół zdawał sobie sprawę, że to nie koniec. Tym bardziej wówczas, gdy z ust anestezjologa padła krótka i zwięzła odpowiedź:

- Zgadnij.

- Co wyście sobie wyobrażali? - gderała Helen, podczas gdy Hamish nerwowo wybierał kolejny numer. - Czy wyście w ogóle wzięli to pod uwagę?

- Jasne, to moja wina - rzucił przez zęby. - To, że w całym stanie nie ma łóżka intensywnego nadzoru dla dwunastolatka, to wyłącznie moja wina!

- Brałeś udział w niezliczonych nasiadówkach, a my przez ten czas nie mieliśmy lekarza - utyskiwała Helen. - Cały zarząd wymyślał ten „etap przejściowy”. Czy chociaż raz pomyśleliście, gdzie będziemy kładli tych wszystkich nowych, dodatkowych pacjentów?

Pewno nie, takie słowa cisnęły mu się na usta. Miał ochotę wytknąć jej, że dwa tygodnie przed tym, jak zapadły decyzje w sprawie etapu przejściowego na oioomie, odbył się pogrzeb Emmy. Zrezygnował, bo uznał, że nie będzie brał jej na litość.

Był też zły na siebie, bo Helen miała odrobinę racji. Bardzo ją lubił, była dla niego kimś więcej niż pielęgniarką z jego oddziału, ale kiedy była nie w sosie, stawała się nie do wytrzymania.

- Dostaliśmy ponad dziewięćdziesiąt nowych łóżek - wytknął jej. - Za miesiąc otwieramy dwa nowe oddziały. A teraz pozwól, że zajmę się szukaniem łóżka intensywnego nadzoru dla tego dziecka. Oby w granicach tego stanu.

- Przecież o tym mówię - drażyła. - Przybyły nam na oioomie tylko dwa łóżka dla dorosłych i jedno pediatryczne!

- Trzy kolejne dostaniemy w przyszłym tygodniu. - Bronił się, jak umiał. Z zaciśniętymi zębami czekał, aż odezwie się osoba zawiadująca łóżkami i zrobi

porządek z tym bałaganem. Czuł, że lada chwila straci panowanie nad sobą. Nie da się połączyć ciągłego przebywania z Charlotte w domu i w pracy z pozostawianiem przy zdrowych zmysłach.

- Dobra nowina - prychnęła Helen. - Ale temu chłopakowi to nie pomoże.

Helen była wszystkim znana z tego, że zawsze walczy o dobro małych pacjentów, że narzekając, daje upust niezadowoleniu z powodu zmian, do których została zmuszona się przystosować, ale tym razem miał szczerą ochotę ją udusić.

- Serdeczne dzięki. - Odłożył słuchawkę, mierząc Helen lodowatym wzrokiem. - Jest łóżko w City Hospital. Ich zespół wyjechał do pacjenta, więc sam z nim polecę śmigłowcem. - Widząc, że Helen chce coś powiedzieć, nie pozwolił jej dojść do słowa. - Tak, będę potrzebował pielęgniarki, co zburzy wasz rozkład dyżurów. Trzeba będzie ściągnąć kogoś z innego oddziału. Albo wręcz wynająć kogoś przez agencję, a to zrobi dziurę w waszym budżecie i, co gorsza, ta pielęgniarka nie będzie miała pojęcia o pracy na urazówce. Nie musisz mi tego mówić. Ale teraz, bardzo proszę, daj mi doświadczoną pielęgniarkę.

Helen jak niepyszna zatrzymała Charlotte, która akurat znalazła się w pobliżu.

- Masz ochotę na przejażdżkę z Hamishem?

Tydzień wcześniej wiedziałyby, jaka będzie jej odpowiedź, niemal słyszał jej kokieteryjny śmiech. Najwyraźniej jednak miniony weekend odmienił ją bardziej, niż mu się wydawało, bo tylko kiwnęła głową i zapytała:

- Dokąd?

- Do City Hospital. Organizuję transport. Poinformuj o tym rodziców pacjenta i zacznij przygotowywać go do drogi.

Charlotte przytaknęła.

- Najpierw pobiegnę do toalety.

- Biorę na siebie rozmowę z rodzicami. - Przegarzał włosy palcami, po czym po raz pierwszy od niedzieli spojrzął jej w oczy.

Czytając w jego myślach, pokręciła głową.

- Wydaje mi się, że jego matka jest zbyt roztrzęsiona, żeby z nami lecieć, ale decyzja należy do ciebie.

- W takim razie zaproponuję im, żeby pojechali autem. Jeżeli wyjadą zaraz, mają szansę dotrzeć tam przed nami.

Na pokładzie śmigłowca Hamish tak bardzo był zajęty pacjentem, że nawet by nie zauważył, gdyby Charlotte była nago. Ale gdy przekazali chłopca zespołowi z oiomu, a chwilę później się dowiedzieli, że śmigłowiec wraca do bazy po paliwo oraz po nową załogę, perspektywę dwóch godzin w karetce razem z Charlotte przyjął z mieszanymi uczuciami.

Podobnie Charlotte.

Siedziała na noszach, nie odzywała się i z butelką picia w ręce wyglądała przez okienko. Żeby skrócić te męki, Hamish rozważał w myślach sugestię, by kierowca włączył sygnał i dodał gazu.

- Szkoda, żeby się marnowały. - Uśmiechając się błado, skinęła głową w stronę pustych noszy. Do Hamisha nagle dotarło, że to wcale nie jest żart. — Będzie ci przeszkadzało, jeżeli się położę?

Nie uznał za stosowne odpowiedzieć, a ona i tak na

to nie czekała. Przypięła się pasami, okryła kocem i zamknęła oczy. Spała do samego Camberfield. Przez ten czas do Hamisha dotarła wymowa tego gestu.

Nie musi się kłopotać, jak jej unikać.

Już ją stracił.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Udany wieczór? - Trzymał na rękach kapryśnego Baileya. Ledwie na nią spojrzął, gdy weszła w wyzywającej spódnicy i szpilkach, z wypiekami na twarzy i z blaskiem w oczach.

Drgnęła, gdy się odezwał, a gdy spostrzegła, że usiłuje utulić Baileya, na palcach ruszyła w stronę zlewu.

- Fajny. - Była tak spragniona, że nawet nie sięgnęła po szklanke, tylko odgarnęła włosy i pochyliła się nad kranem. - Tańczenie potwornie wysusza.

- Nie wątpię. - Patrzył, jak otwiera szafkę, żeby wyjąć szklanke. - Obok są proszki od bólu głowy - dodał lekko złośliwym tonem. - Mogą ci się rano przydać.

- Nie spodziewam się kaca - zachnęła się. - Nie wypiałam ani jednego drinka. - Śmiejąc się cicho, opadła na kanapę. - Jestem skonana.

- Chętnie posłucham...

Milczeli przez dobre pięć minut.

- Pamiętasz, że wyjeżdżam na czwartek i piątek? Jadę posprzątać dom mamy. Jeżeli masz nocny dyżur...

- Poradzimy sobie. - Miał już absolutną pewność, że jej to nie interesuje.

- Jezu, ile to roboty - jęknęła. - Chyba dlatego czuję się taka wyczerpana. Na zapas. Wystarczy, że o tym pomyślę.

Oczekuje, że on zaproponuje jej pomoc? Nie miał stuprocentowej pewności, ale czuł, że Charlotte próbuje go wybadać, mimo że ziewania i jęczenia nie zaobserwował w jej repertuarze.

- Masz szczęście, że możesz liczyć na Trevora i jego żonę.

- Pewnie tak. - Trochę się rozchmurzyła. - Oni są cudowni. Podejrzewam, że jak tam zajadę, to pół domu już będzie wysprzątane. Dokończymy razem i nareszcie zamknę ten dom na klucz.

- Będziesz miała z głowy. - Uśmiechnął się niemrawo.

- W końcu! - Ziewnęła, nalała wody do szklanki i powiedziała mu dobranoc.

Do holu weszła na palcach, ale kawałek dalej zaczęła stukać obcasami, budząc Baileya.

Nic jej nie obchodzi, pomyślał rozwścieczony, kiedy rozbudzony Bailey skorzystał z okazji, by zsunąć mu się z kolan i pełzać po pokoju.

Spakować rodzinny dom i oddać klucze - jakie to proste! Uronić łzę nad starą szkapą i natychmiast o niej zapomnieć!

Przelecieć Hamisha w niedzielę - dlaczego nie? A potem, we wtorek, wystroić się na randkę z Cameronem!

- Zostaw to! - Oprzytomniał w chwili, gdy rączki Baileya niczym dwa miniradary bezbłędnie natrafiły na zakazany owoc. Tym razem nie był to pilot do telewizora, lecz kartony z rzeczami Charlotte. - Oddaj - zażądał teatralnym szeptem, ostrożnie rozginając zaciśnięte paluszki, by nie pognieść pliku fotografii. Rano ją przeprosi, a także postara się odtworzyć te

bardziej pomięte. Ale szybko zapomniał o tej obietnicy, spojrzawszy na jedno ze zdjęć.

Ujrzał na nim śliczną roześmianą dziewczynkę w wieku siedmiu, może ośmiu lat.

To dziwne, że takie ładne zdjęcie potrafi spowodować tyle złości. Kokietka i manipulatorka, pomyślał, przypomniawszy sobie, jak gładko zdobyła zaufanie Andy'ego, jak bez mrugnięcia powieką mówiła to, co ten nieborak chciał usłyszeć, żeby przeciągnąć go na swoją stronę.

Mamiła Trevora, twierdząc, że sama sobie poradzi, ale nakłoniła go do pomocy.

Powiedziała weterynarzowi, że Scottie pracował z niepełnosprawnymi dziećmi, żeby mu nie płacić.

A jemu zwierzyła się, że nie ma pieniędzy akurat w chwili, kiedy zamierzał zrezygnować z jej usług.

Skończony kretyn! Czuł, że robi mu się niedobrze, że na wargi wypełza grymas obrzydzenia. W tej samej chwili Charlotte znowu weszła do kuchni po wodę.

- W łazience też jest kran - burknął. Nie widzisz, że staram się go uśpić.

. - Przepraszam. - Wyglądała niewyraźnie. - Chyba jednak wezmę aspirynę. - Wyciągnęła rękę do szafki z lekami. - Mam wrażenie, że coś mnie bierze.

- Nie krępuj się.

Gdy ruszyła na górę, siedział z ponurą miną na kanapie. Przysiągł sobie, że już nigdy nie zostawi Baileya z Charlotte. Jak wróci w piątek, da jej weekend na znalezienie innego mieszkania.

- Nie krępuj się - powtórzył półgłosem, gdy zamknęły się drzwi jej sypialni. - Ty i tak się nie krępujesz.

- Charlotte, pospiesz się - ponaglała ją Helen. - Chciałabym przed lunchem dotrzeć do łóżka.

- Przepraszam. - Po raz drugi liczyła ampułki z morfiną i sprawdzała numery serii. Tego poranka przekazywanie dyżuru i związane z tym zdanie magazynu leków ciągnęło się wyjątkowo długo.

Przy stanowisku pielęgniarek z kolei Hamish wznosił wzrok do góry, usiłując wydobyć objawy zaobserwowane przez pacjentkę od kompletnie nieprzytomnego Camerona.

- Czy ty w ogóle z nią rozmawiałeś? - zirytował się.
- Czy powtarzasz to, co jest na skierowaniu?

- Ona ma dysfazję ekspresywną - powtórzył Cameron po raz trzeci. - Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi.

- Ja spróbuję - zaofiarowała się Helen, która zawsze starała się łagodzić wszelkie nieporozumienia. Dysfazja jest schorzeniem nader frustrującym dla pacjenta oraz dla służby zdrowia. Pacjent nie jest w stanie formułować słów, a słuchający traci cierpliwość z powodu braku porozumienia. - Hamish, ją naprawdę trudno zrozumieć.

- Miałaś już iść do domu - zauważył. - Nie masz obowiązku zostawać dłużej, ponieważ mój rezydent nie potrafi wziąć się do roboty.

- Cameron został wczoraj dłużej, bo go o to prosiłam. Powinien iść do domu o szóstej, a był na oddziale jeszcze po północy. Więc zamiast ganić go na oczach całego zespołu, powinieneś wysłać go do bufetu, żeby zjadł śniadanie i wypił kawę.

- W nocy byłeś na oddziale? - Hamish zerknął na Charlotte. Czy to ważne, z kim się bawiła? Już go to nie interesuje. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? Bo nie da-

łem ci szansy - odpowiedział sam sobie. - Były jakieś problemy?

- Nie. Najpierw czekałem na ortopedę, bo chciałem być przy nastawianiu stawu barkowego, a potem zaroiło się od pacjentów i już nie mogłem, się wyrwać. Sam wiesz, jak to jest...

Zanim Hamish mu odpowiedział albo go przeprosił, rozdzwonił się telefon. Gdy Charlotte odłożyła słuchawkę i rzuciła się pędem w stronę stanowiska reanimacyjnego, stało się jasne, że wątek ten podejmą później.

- Dziecko! Zatrzymanie akcji serca! - Helen przygotowywała monitor kardiologiczny. - Chłopiec, dwa lata. Będzie tu za sekundę. Mieszka kilka minut stąd, więc ratownicy natychmiast wzięli go do karetki.

Spojrzawszy na Hamisha, Charlotte od razu wiedziała, o czym pomyślał. Odetchnął głębiej, przypomniawszy sobie, że Bailey jest w żłobku. Nie znaczyło to jednak, że może się zrelaksować. To jest czyjeś dziecko, a jego życie wisi na włosku.

Spostrzegłszy niebieskie błyski, Charlotte podbiegła na podjazd i szarpnęła drzwi karetki, jeszcze nim ta zahamowała. Ratownik rzucił jej worekambu, po czym wyskoczył z zawiniątkiem, drugą ręką nie przestając uciskać wątej klatki piersiowej. Biegnać za nim do stanowiska reanimacyjnego, miała absolutną pewność, że ratunek przyszedł za późno.

- Zgasł... - Hamish spoglądał na monitor. Po chwili obejrzał źrenice dziecka.

Charlotte jednak nie przerywała masażu serca, a anestezjolog nie odciął dopływu tlenu.

- On jest ciepły - mówiła Charlotte. Wiedziała, że

Hamish się nie pomylił, ale ona z całego serca pragnęła, żeby było inaczej.

- Tak, jest ciepły - potwierdził ratownik. To bardzo istotna informacja. Wskazuje, jak długo pacjent nie oddychał. Pomimo wybroczyn to dziecko nadal było ciepłe.

On jest jeszcze ciepły, miała ochotę krzyżeć. Nie przerywała masażu, dopóki Hamish nie dotknął jej ręki.

- Miał gorączkę. Dlatego jest ciepły - wyjaśnił. - Zgon nastąpił jakiś czas temu.

- Biedactwo - szepnęła Helen.

Czterdzieści lat doglądania chorych na oddziale ratownictwa nie uodporniło jej na takie sytuacje. Hamish tymczasem badał zwłoki, szukając wysypki lub innych śladów pozostawionych przez mordercę, który odebrał małemu chłopcu życie.

- Prawdopodobnie miał wysoką temperaturę oraz drgawki, bo w drogach oddechowych są wymiociny. Robiłeś mu oddychanie usta-usta? - zwrócił się do ratownika.

- Tak. W karetce.

- Nie odchodź. Dostaniesz antybiotyki. Gdzie są rodzice?

- Jada. On ma brata bliźniaka. Poszli zostawić go u sąsiadki.

- On ma bliźniaka? - Charlotte zbladła.

- Jednojąowego. - Ratownikowi nie było dane rozwinąć tematu, bo do sali weszła recepcjonistka. Nie patrzyła na stół i bardzo starała się mówić spokojnie, mimo że bez wątplenia chciała stamtąd uciec.

- Przyjechali rodzice.

- Jeżeli on ma brata bliźniaka, to i jego trzeba koniecznie zbadać - rzekła cicho Charlotte, ale Hamish nie

zareagował. Opanowanym głosem rozmawiał z recepcjonistką.

- Teraz do nich pójde. Zaproś ich do pokoju dla rodzin. I powiedz w centrali telefonicznej, żeby nikogo ze mną nie łączyła, dopóki tego nie odwołam. Chyba że wydarzy się coś wyjątkowo pilnego.

- Trzeba zbadać tego drugiego. - Z każdym słowem mówiła coraz głośniej. - Trzeba go zbadać... Spali w tym samym łóżeczku?

- Będę rozmawiał z rodzicami.

- Hamish! - Chwyciła go za rękaw, gdy ruszył do wyjścia. - Musisz zbadać tego drugiego. On może...

- Charlotte, wiem, co robię. Dziękuję ci - warknął zły nie na nią, lecz na stojące przed nim zadanie. - Najpierw muszę poinformować rodziców, że ich syn nie żyje, a dopiero potem, że drugi może być zagrożony. A teraz, bardzo proszę, pozwól mi wykonać to przekłete zadanie.

- Spokojnie, dziecko - mówiła Helen, z niepokojem spoglądając na Charlotte, która duszkiem wypięła szklankę wody w pokoju dla personelu! Ręka tak mocno jej drżała, że ledwie utrzymała szklankę. - Nikt z nas nie potrafi się z tym pogodzić. Pracuję czterdzieści lat i pamiętam wszystkie te twarzyczki...

- Jadę do domu - oznajmiła nagle Charlotte. - Źle się czuję.

- Przeżyłaś wstrząs. Nie uciekaj. Powinnaś zostać i...

- Nie chodzi mi o to dziecko. - Z przekonaniem potrząsnęła głową. - Już rano czułam się nieswojo. Chyba coś mnie bierze. Mam w zapasie parę dni wolnych.

- Charlotte, wiesz dobrze, że dzisiaj jest nas za mało. Zostań, dopóki nie znajdę kogoś na twoje miejsce.

- Przykro mi. - Wyminęła swoją szefową. - Nie mogę, Helen, naprawdę. Jadę do domu.

- Miałaś iść do domu. - Hamish był bardzo blady, mimo to obdarzył Helen współczującym uśmiechem.

- Na razie dom musi poczekać. - Zatrokana położyła mu rękę na ramieniu. - Trzymasz się? Wyobrażam sobie, jak ci ciężko, tym bardziej że twój Bailey jest w tym samym wieku.

- Nie wiem, co czuję - westchnął.

- Jak rodzice to przyjęli? - Znała odpowiedź, więc on tylko pokiwał głową i odwzajemnił się innym pytaniem:

- Helen, dlaczego my to robimy?

- Nie mam pojęcia. Codziennie zadaję sobie to pytanie.

- Chyba wszyscy bez wyjątku je sobie zadajemy.

- Wzdychając, wyłączył sygnał pagera.

- Przynieść ci coś do picia do stanowiska pielęgniarek? Mam w torbie kilka zupek instant.

- Jakie?

- Takie wymyślne, z grzaneczkami, kluseczkami... Mogę nawet dosypać ci trochę pieprzu.

- Pycha. - Uśmiechnął się słabo. - Helen, szukam Charlotte. Była bardzo zdenerwowana. Jak ją zobaczysz, to przekaz jej, że ratownicy już pojechali po drugiego bliźniaka.

- Charlotte wyszła.

- Wyszła?

- Tak. - Wpatrywała się w niego badawczo. - Powiedziała, że źle się czuje. Nie jestem stuprocentowo pewna, czy to prawda.

- No cóż, wczoraj bankietowała.
- Była na lekcji tańca - sprostowała Helen. - Uczy się tańczyć salsę.

Ściągnął brwi.

- Salsę? Charlotte chodzi na lekcje salsy?
- Nie widziałeś ogłoszenia na tablicy? W każdy wtorek w domu kultury, a w piątki albo w soboty są potańcówki, żeby kursanci mogli pokazać, co potrafią. Zwerbowała pół oddziału. — Helen nagle spoważniała. - Hamish, martwię się o nią.

- O Charlotte? - parsknął. - Jak się tak o nią martwisz, to uważaj, żeby nie wylądowała w twoim pokoju gościnnym.

- Jak mam to rozumieć?

- Nieważne. - Był zły na siebie, że dał się sprowokować. Niezależnie od tego, co o niej myśli prywatnie, nie ma prawa wyciągać tego w pracy. Nie ona pierwsza ani ostatnia bierze zwolnienie, kiedy jej się nie należy.

- Masz rację, rano wyglądała trochę niewyraźnie - rzekł bez przekonania. - Może coś ją bierze...

- Hamish, nie to mnie martwi, że ona się rozchoruje. Zaniepokoiła mnie jej gwałtowna reakcja dzisiaj rano.

- Umarło dziecko. Wszyscy to przeżywamy.

- Tak, ale nie wszyscy uciekamy z oddziału. Jak znajdę kogoś, kto ją zastąpi i jak trochę się zdrzemnę, wpadnę do niej. Mogę wejść do twojego domu?

- Nie widzę żadnych przeszkód.

- Wiesz przecież, że ona nigdy nie narzeka. W żadnej sytuacji. I to mnie zastanowiło... - Rzuciła mu z troskane spojrzenie, zarażając go swoim niepokojem.

Wszystkie błahe pytania, które sobie zadawał, połączyły się w jedno fundamentalne: czy rzeczywiście wszyscy są tak bardzo zadowoleni ze swojego losu?

Najchętniej zaszyłby się w swoim gabinecie, ale nie pozwalały mu na to okoliczności.

Do południa przebiegały mu przez umysł przeróżne myśli związane z Charlotte, ale nie miały szansy ułożyć się w logiczny ciąg, bo oprócz rutynowych obowiązków dużo czasu poświęcił zrozpaczonemu rodzi-
com, a gdy Charlotte wyszła, okazało się, że brakuje mu pielęgniarek. Koło drugiej poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Przekazał swój pager Cameronowi i po raz pierwszy od dłuższego czasu pojechał na lunch do domu. Nękały go nieprzyjemne skurcze żołądka, ale nie z powodu głodu, lecz czegoś, czego nie potrafił określić. W drodze do domu wyrzucał sobie, że brakuje mu siły, by uwolnić się od myśli o Charlotte.

- Miałeś rację. - Helen uśmiechnęła się sarkastycznie, gdy wjechał na podjazd. - Nie ma jej.

- Może jest u lekarza?

- Przez pięć godzin? Pierwszy raz byłam tu rano, jadąc do domu. Chyba przestanę się o nią martwić i udam się na zasłużony odpoczynek. Wracam na oddział wieczorem. Naprawdę jej uwierzyłam, kiedy powiedziała, że jedzie do domu.

Gdy wszedł do środka, ogarnęło go przerażenie z powodu pustki, mimo że jej kot przebiegł przez hol, a jej pies radośnie go przywitał.

Po raz pierwszy nie zauważył, albo nie chciał zauważyć, że kot i pies, wyczuwając jego słabość, pomknęły za nim na piętro. Gdy otworzył drzwi do

pokoju Charlotte, owiał go zapach jej perfum. Popatrzył na starannie zaścielone łóżko i wyszedł.

Na dole kubki i talerze stały tam, gdzie je rano zostawili. Ogarnęło go złe przeczucie, gdy zorientował się, że jej nie ma... w domu.

Dom. Nagle doznał olśnienia: Charlotte jest w domu. W domu matki.

Odrobinę się zrelaksował. Po prostu pojechała tam trochę wcześniej. Włączył czajnik.

Usiadł na kanapie z kawą i kanapką, ale w dalszym ciągu czuł, że jest spięty. Ugryzł jeden kęs, po czym zrezygnował z jedzenia z powodu tego ucisku w żołądku. Jego wzrok padł na jej spakowane kartony.

Jeszcze nigdy nie zniżył się do grzebania w cudzych rzeczach, do tak brutalnego naruszenia czyjejś prywatności. Tym razem uciszył sumienie. Otwierając pudło, czuł niesmak, instynktownie przeczując, czego się dowie.

Znalazł. Przez chwilę przyglądał się fotografii ślicznej dziewczynki. Przeczytał inskrypcję na odwrocie, po czym zaczął przekładać resztę zdjęć. W końcu trafił na asa! Przepełniony smutkiem na sekundę zamknął oczy.

Oto Charlotte.

Serce mu się ścisnęło na widok zagniewanej twarzynki o ściągniętych rysach, oczu ciskających gromy na tego, kto ją fotografował. Ta mała dziewczynka wierzy głęboko, że jest brzydka. Oglądając kolejne zdjęcia, podglądając jej życie, czuł, że robi mu się coraz ciężiej. Wyobrażał sobie, jak ta dziewczynka walczy, by dorównać pięknej siostrze tak bardzo do niej podobnej, by znaleźć miejsce dla siebie. Było tam

też zdjęcie z bardzo młodym Scottiem, a może był to jego poprzednik. Tym razem Charlotte się uśmiechała, bo nie wiedziała że jest fotografowana.

- Biedna Charlotte. - Dopiero teraz pojął, co dziś przeżyła. Znowu zadzwieczało mu w uszach jej błaganie, by zajął się żyjącym bliźniakiem.

Rozmawiając z Andym, mówiła prawdę.

- Dranie! - Tym epitetem objął nieznanym, którzy zmienili w piekło życie tej dziewczynki, ale i siebie.

Zlekceważył ją, drwił z niej, gdy prosiła, by zbadał drugiego bliźniaka, zarzucał jej brak serca, zrozumienia. Mimo że minione dni nie należały do przyjemnych, szczerze zaczął żałować tej jednej miłosnej nocy. Szkoda, że nie trzymał jej dłużej w ramionach, zanim ją pocałował, szkoda, że nie poświęcił więcej czasu, by ją lepiej poznać.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - pytał fotografię. Zadzwonił telefon.

- W pracy powiedzieli, że jesteś w domu - mówiła Belinda. - Dawno cię nie widziałam. Chciałam się upewnić, że wszystko w porządku.

- W jak najlepszym - odparł, wpatrując się w zdjęcie bliźniaczek. - Poczułem, że muszę stamtąd wyjść na godzinę.

- Wcale ci się nie dziwię. - Westchnęła. - Słyszałam o tym małym. To straszne.

- Miał brata bliźniaka.

- Biedactwo, oszedł tak nagle... - Belinda mówi nie to co trzeba, pomyślał, patrząc na fotografię dwóch dziewczynek. Nie pomyślała nawet, komu będzie najbardziej brakowało tego dziecka. - Współczuję rodzi-

com. Trudno im będzie się z tym pogodzić. Hamish, wiesz co? - Zamknął oczy, gdy zmieniła temat. - Zapi-
sałam się na lekcje salsy. Te, które załatwiła Charlotte.

- Ty?

- Tak, ja. - Roześmiała się. - Rick wpadł w zachwy-
t. Na początku był sceptyczny, ale jak mu poka-
załam nową suknię... Charlotte poradziła mi, jakie
mam dobrać buty.

Jak ona sobie z tym radzi?!

Odłożywszy słuchawkę, zadumał się nad pytaniem,
które w ustach innych doprowadzało go do wście-
kłości.

Szukał na nie odpowiedzi.

Ona radzi sobie, uśmiechając się... trzymając się,
kiedy zdycha jej kucyk albo kiedy jej matka sprzedaje
dom i przenosi się do innego stanu, zostawiając ją bez
dachu nad głową. Ona tłumi emocje.

Radzi sobie, bo musi, bo nie ma wyboru. Radzi
sobie, jak umie, tak jak on przez minione półtora roku.
Więc jeżeli Charlotte nie chce się angażować, to ma do
tego prawo. Jeśli nie chce wiązać się z nim i z jego
synem, to on to rozumie.

Jesteś żalonym draniem, pomyślał. Większość fa-
cetów oddałaby wszystko, by zatańczyła przed nimi
salsę. Każdy prawdziwy mężczyzna dałby się zabić za
jedną noc bez żadnych zobowiązań z taką kobietą jak
Charlotte. Spróbuj pożalić się chłopakom w pubie,
a wszyscy cię wyśmieją.

Przeprosi ją, schowa do kieszeni całą swoją dumę
i przyzna się, że wie o jej siostrze, powie, że...

Tę introspekcję przerwało miauczenie kota, więc
wstał, żeby go, albo ją, nakarmić, ale Maisie nie o to

chodziło. Kocisko ocierało się o jego nogi, miaucząc coraz głośniej.

- Czego chcesz? - zapytał, nalewając wody do miseczki. - Zapomniała o tobie, a sama pije jak smok.

Niespodziewanie przypomniało mu się, jak zmęczona zasnęła na noszach w karetce, jak popijała w kuchni środek przeciwbólowy, jej mocno zaróżowione policzki, gdy piła wodę prosto z kranu, odgłos jej kroków, gdy kilka razy każdej nocy szła do toalety...

Ona nie była zdenerwowana, ona jest chora!

Ale o tym nie wie.

Chwycił kluczyki od samochodu, zadzwonił do siostry, potem do szpitala, by powiedzieć, że muszą sobie radzić bez niego, bo on ma bardzo ważną sprawę do załatwienia. Potem wydzwaniał do wszystkich pośredników handlu nieruchomościami, aż w końcu udało mu się wydostać adres wystawionej na sprzedaż posiadłości pani Josie Porter. Pędził tam, nie zważając na ograniczenia prędkości i przez cały czas się modlił, by dotrzeć do Charlotte na czas.

Miał o niej jak najgorsze mniemanie, podczas gdy ona postępowała w najlepszej wierze...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zastał ją na podłodze w łazience. Błyskawicznie założył jej maskę i odkręcił zawór pojemnika z tlenem, który przezornie wziął ze sobą. Przede wszystkim zajął się chorą, a dopiero potem wezwał pomoc oraz zainteresował się własną ręką, którą pokaleczył, wybierając szybę, by dostać się do domu.

Znalazłszy się w środku, od razu zdiagnozował cukrzycę, ponieważ poczuł charakterystyczny zapach wydzielany przez diabetyków. Nie potrzebował wyników badania poziomu cukru w krwi. Mimo to postępował zgodnie z przewidzianymi procedurami. Czekając na wynik testu, zawiesił kroplówkę na baterii nad wanną, przygotował insulinę, po czym podał niezbędne leki. Dopiero wtedy wezwał karetkę, a następnie, nie spuszczać oka z Charlotte, opatrzył rękę. Przez cały czas zastanawiał się, jak jeszcze może jej pomóc, mając do dyspozycji tak niewiele środków.

Czego by sobie zażyczyła?

Spoglądając na tę niezwykłą i dumną kobietę, teraz bezradnie leżącą na podłodze, bez trudu odpowiedział sobie na to pytanie. Trzeba zrobić to, co jest absolutnie konieczne!

Biegał po domu, szukając jej pokoju. Zorientował się, że znalazł jej sypialnię nie po fotografiach wiszących na ścianach ani po spakowanych walizkach, lecz

po tym, że w jednym z pomieszczeń stały dwa łóżka. Stanąwszy w progu, wyobraził sobie, jak by cierpiała, widząc, jak następnego dnia te sprzęty zabierają ludzie z organizacji dobroczynnej.

Z jej neseserka wyjął parę majtek i legginsów. Wychojąc, na moment przystanął w progu. Może jednak starała się sprowokować go do przyjazdu? Może w bardzo zawołowany sposób nareszcie prosiła o pomoc?

- Nie wygląda na to - mruknął, ściągając z niej mokre dżinsy, by ją przebrać w suche majtki i legginsy. Gdy wycierał podłogę, usłyszał zbawienny ryk syreny.

Gdy ratownicy wpadli do domu, stał na górze schodów, by pokazać im drogę. Bez słowa wymienili pojemnik z tlenem i podłączyli Charlotte do specjalistycznej aparatury.

- Co się stało?

- Świeżo zdiagnozowana cukrzyca - odparł. - Śpiączka hiperglikemiczna. Kwasica. Sprawdziłem poziom cukru we krwi. Wygląda na to, że leży tu od kilku godzin.

- Kiedy ją pan znalazł?

- Dwadzieścia minut temu.

- Na pewno? - Ratownik przyglądał mu się podejrzliwie. Pacjent w tak złym stanie, tak długo pozostawiony bez należytej opieki, nie powinien wyglądać tak schludnie.

- Trochę tu posprzątałem - przyznał. - Jestem ordynatorem oddziału ratownictwa w Camberfield. Wiercie mi, ona naprawdę jest bardzo chora. - Popatrzył na Charlotte, więc nie zauważył charakterystycznego błysku w oczach ratownika.

- Przepraszam, doktorze, nie poznałem pana.
- Lepiej zajmijcie się pacjentką. - Czując się kompletnie nieprzydatny, odstąpił na krok, by im nie przeszkadzać.

Gdy manewrowali noszami w ciasnej łazience, cofnął się jeszcze dalej, pod drzwi jej sypialni. Ponuro spoglądając na dwa osobne łóżka, które tyle dla niej znaczyły, przysiągł sobie, że do śmierci będzie opiekował się Charlotte i dbał o to, żeby była szczęśliwa.

- Powiniennem być wezwać karetkę, jak tylko się zorientowałem.

- I na podstawie przecucia kazałbyś ratownikom włączyć się do domu jej matki? - zapytała drwiącym tonem Helen, ustawiając kolejny stojak z kroplówką przy łóżku Charlotte, która nadal nie odzyskała przytomności.

Leżała bez ruchu z maską tlenową przy twarzy, pod dodatkowym kocem, podczas gdy oni robili, co w ich mocy, by obniżyć poziom cukru w jej krwi i zbilansować niebezpiecznie wysokie poziomy elektrolitów oraz dwutlenku węgla.

- To przecucie nie było bezpodstawne. Pamiętaj, że jestem lekarzem specjalistą. Charlotte ciągle coś piła i co pięć minut biegała do toalety. Już samo to wystarczy, żeby podejrzewać cukrzycę. Zauważyłem, że jest czerwona na twarzy, ale myślałem, że to od tej sal... - Nie dokończył zawstydzony, jak źle ją oceniał.

- Że to z powodu salsy!?! - Helen się roześmiała.
- Charlotte ma pomysły nie z tej ziemi. Czy wiesz, że mnie błagała, żebym z nią tańczyła? Przekonywała mnie, że to superzabawa. Mnie, sześćdziesięcioletniej

babie, kazała ubrać się jak lafirynda. W obcasy i skapą spódniczkę!

- Cała Charlotte. Ona nigdy się nie poddaje. - Wzruszenie ścisnęło go za gardło.

- Miała rację. Było fantastycznie - wyjaśniła Helen, a jemu zrobiło się głupio, że podejrzewał ją o występne uciechy w towarzystwie kochanków. - Ledwie zaczęła u nas pracować, a już udało się jej zebrać całą grupę tancerzy. Nawet Mike, nasz zasłużony sanitariusz, tańczy salsę, jak tylko czas mu pozwala. Nie czytałeś zaproszenia, które wisi na naszej tablicy? Nawet mi przez myśl nie przeszło, że w wieku sześćdziesięciu lat będę tańczyć salsę, ale powiem ci z ręką na sercu, że przydałoby się to każdemu z nas. Umówiłam się z nią, że znowu przyjdę, jak tylko skończą mi się nocne dyżury. Charlotte...- Pochyliła się nad uchem chorej. - Może jeszcze nie w przyszłym tygodniu, ale jak tylko ustawimy ci leki, idziemy na tańce! Chodź, Hamish - zarządziła, gdy podejrzanie zamrugał powiekami. - Zabieram cię na kawę. I nie chcę słyszeć żadnych protestów. - Gestem przywołała młodszą pielęgniarkę do łóżka Charlotte.

Nie zaprotestował.

Nie odstępował Charlotte, od kiedy znalazł ją na podłodze w łazience. Ponaglał ratowników wściekły, że zamknięto miejscowy szpital, siedział przy niej w śmigłowcu, ale ona ani razu nie otworzyła oczu ani nie dała znaku, że go słyszy.

Teraz jednak czuł, że wkrótce to się stanie.

Teraz wiedział, że jest nadzieja, że odpowiednia terapia pomoże kobiecie, którą pokochał.

- Hamish, przepraszam, że się wtrącam... - Helen

podała mu kubek. - Odnoszę wrażenie, że coś was łączy.

- Daj spokój.

- Wykluczone. Zerwaliście? Myślałeś, że spotyka się z kimś innym?

- Nie zerwaliśmy, bo nie byliśmy razem - burknął.

- Przepraszam, jeśli się zagalopowałam. - Poklepała go po kolanie. - Ale zauważyłam ostatnio, że lepiej wyglądasz... od śmierci Emmy. Jesteś bardziej zrelaksowany, opowiadasz o Baileyu jak każdy dumny ojciec.

- Zawsze jestem dumny z Bailey'a.

- Ale byłeś taki zabiegany, że tego nie dostrzegaliśmy. - Wstała. - Dopóki nie zjawiła się Charlotte.

- My... - zaczął, a Helen zatrzymała się w progu. - Ktoregoś wieczoru... Dajmy temu spokój. - Machnęła ręką. - I tak tego nie zrozumiesz.

- Jasne, nie zrozumiem. Czy ja mogę cokolwiek wiedzieć o seksie?! Urodziłam pięcioro dzieci, ale nie mam pojęcia, skąd się wzięły. Czterdzieści lat pracuję w szpitalu i wysłuchuję historii, od których włos staje dęba, ale uparcie wierzę, że w dniu ślubu wszystkie kobiety są dziewicami! Nie warto ze mną rozmawiać. Nawet nie próbuj ze mną o tym gadać czy prosić o radę.

- Zamknij drzwi - warknął, zawstydzony i zażenowany, że za moment będzie roztrząsał swoje ubogie życie seksualne z kim? Z Helen. Raz kozie śmierć, pomyślał. Helen to też kobieta. W tej chwili przyda mu się każda pomoc.

- W niedzielę jej koń, znaczy kucyk... Trzeba było go uśpić.

- Biedna Charlotte. Pewnie była zrozpaczona.

- Nie dała tego po sobie poznać. Zachowywała się jak zawsze. Ale potem był ten pożar, w którym zginęła cała rodzina. I to bardzo ją poruszyło, a potem...

- Rozumiem.

- Rano dała mi kosza. - Potrząsnął głową. - Powitała mnie promiennym uśmiechem, po czym dała mi do zrozumienia, że miała trudny dzień i że byłem lepszym remedium niż proszek nasenny. - Helen rzuciła mu powątpiewające spojrzenie, sprawiając mu tym pewną ulgę. - Ujęła to znacznie zwięźlej.

- Ale ty tak to odebrałeś?

- To było oczywiste!

- Nie przyszło ci do głowy, że chciała cię ubiec?
- Hamish uniósł brwi, więc pospieszyła z wyjaśnieniem: - Żebyś ty nie odtrącił jej pierwszy.

- Dlaczego miałbym ją odtrącić?

- Z powodu poczucia winy wobec Emmy. Minęło dopiero półtora roku.

- Nie musisz mi o tym przypominać. Wydawało mi się, że to już się nie powtórzy. Okej, może miałem jakieś wyrzuty sumienia, ale prawdę mówiąc, nie miałem czasu nad tym się zastanawiać. Odkąd znam Charlotte, w ogóle o tym me myślałem. Dlaczego miałbym ją odtrącić, skoro za nią szaleję? Dlaczego miałbym zrezygnować z takiej niezwyklej kobiety?

- Powiedziałeś jej o tym?

- Nie dała mi szansy - prychnął, ale trochę zmiękł. Przecież Helen chce mu pomóc. - Ona jest... skomplikowana - zaczął. Jak opowiedzieć Helen o odkryciu, którego sam do końca nie rozumie?

- Czy chociaż zaprosiłeś ją na porządną staroświecką randkę?

- W pewnym sensie. Próbowałem dwa razy. Zapytałem, czy w piątek zje ze mną kolację z hinduskiej knajpy... - Bardzo niekonkretna odpowiedź. - Nie masz pojęcia, Helen, jakie to było trudne.

- Szła w piątek na tańce. Mogłeś z nią pójść.

- Myślałem, że idzie na orgię z setką facetów - jęknął.

- To rzeczywiście była orgia. - Helen mrugnęła porozumiewawczo. - Dawno się tak nie wyszalałam. To dziwne, że cię nie zaprosiła.

- Zapraszała, ale nie wprost.

- Nie pomyślałeś, że dla niej to też mogło być bardzo trudne? To zaproszenie już bardzo długo wisi na tablicy, ale ty się nim nie zainteresowałeś.

- Nawet go nie czytałem - przyznał się.

Helen w zamyśleniu kiwała głową.

- Hamish, seks w tym wszystkim jest najłatwiejszy, ale nad uczuciami trzeba nieźle się napracować. Ale wy... - Miała oczywiście na myśli wszystkich poniżej czterdziestki, w szczególności jego oraz jego młodzieńcze hormony. - Wy od razu wskakujecie do łóżka. Nawet sobie pogadacie. Myślę, że powinienś spróbować.

Zrobi to, ale jeszcze nie teraz.

Całą noc spędził na oddziale intensywnej opieki. Po kilku godzinach recepcjonistce udało się zdobyć numer telefonu matki Charlotte. Zadzwoił do niej. Pani Porter wyprowadziła go z równowagi, bo biorąc nadto dosłownie jego słowa pociechy, zamiast zdecydować się na zarezerwowanie biletu lotniczego z Queenslandu, uznała, że „poczeka”, jak sytuacja będzie wyglądała rano.

Potem, kiedy sprawy przybrały właściwy obrót, kiedy Charlotte się przebudziła, a kryzys minął, pojechał do Belindy, by ją przeprosić za to, że znowu obarczył ją Baileyem. Szczęśliwy przytulał synka, ciesząc się, że ma tak troskliwą rodzinę, przede wszystkim siostrę, która w nowej pracy wzięła zwolnienie, by opiekować się bratankiem. Nawet nie pytała o przyczynę, po prostu uznała, że jest bratu potrzebna.

W drodze do domu zatelefonował do Trevora, by zapytać, jak postępują porządki oraz zaproponować swoją pomoc. Jakiś czas później nakarmił zwierzaki i wyszedł z psem na spacer. Już wsiadał do auta, by wrócić do szpitala z jej rzeczami, ale w ostatniej chwili pobiegł do domu po pomadkę i perfumy, z punktu widzenia Charlotte nieodzowne.

Nie mógł się doczekać, kiedy poważnie porozmawiają. Zastanawiał się, jaka będzie jej reakcja.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Jeszcze chwilka. - Uśmiechnęła się na powitanie. Patrzył, jak sama bada poziom cukru. Nawet nie mrugnęła, nakłuwając sobie palec. - Siedem- orzekła, spoglądając na swoją kartę z opadającym wykresem insuliny podawanej, dopóki poziom cukru się nie ustabilizuje. - No, już niepotrzebna.

Hamish tylko westchnął.

Sześć godzin później, po opuszczeniu oddziału intensywnej opieki medycznej, siedziała na łóżku w ulubionej koszuli nocnej, umalowana i pełna wigoru.

- Lepiej wyglądasz.

- I czuję się lepiej - przytaknęła. - Od jutra sama będę dawkować sobie insulinę - oznajmiła niemal radosnym tonem. - Dziękuję, że po mnie przyjechałeś. - Ujęła go za rękę, bo siedział tuż obok, na brzegu jej łóżka. - Nie, źle to powiedziałam. - Nie odrywając wzroku od jego twarzy, odetchnęła głębiej. - Dziękuję ci za uratowanie mi życia. Cieszę się, że mnie uratowałeś.

- Też się z tego cieszę. - Była to święta prawda. Nie tylko dlatego, że był lekarzem i zdawał sobie sprawę, jak kruche jest ludzkie życie, nawet nie dlatego że ją kochał, ale dlatego że świat jest piękniejszy, gdy są w nim ludzie tacy jak Charlotte.

- Dlaczego sama na to nie wpadłam? - zastanawiała

się na głos. - Siusiałam co pięć minut, ciągle mnie suszyło i podle się czułam. Myślałam, że to przeziębienie albo grypa. Tyle się działo, byłam przygnębiona...

- Czym?

- Scottiem i tym wszystkim...

- Pożarem? - Potaknęła. - Z naszego powodu? - Bał się na nią spojrzeć, nawet wstrzymał oddech. W końcu, z pewnym wahaniem pokiwała głową.

- Chyba tak.

Odetchnął z ulgą, ale nadal nie był pewny siebie.

- Widziałem, jak byłaś poruszona przypadkiem tego małego bliźniaka.

Oblizwała ciągle spierzchnięte wargi, łuszczące się pomimo grubej warstwy szminki, w myślach dobierając słowa.

- Wszyscy bardzo to przeżyli.

- Ale ty byłaś najbardziej wstrząśnięta. - Widział, że jest bliska łez. - Wiem o Cassie - wyznał cicho.

- Trafiłem na coś takiego. - Wyjął z kieszeni fotografię i położył ją na kocu. Przymknęła powieki, by nie patrzeć na zdjęcie. - Bailey dobrał się do twoich kartonów. - Zawahał się. - Nie, to nieprawda. To ja je wyjąłem z pudła. Myślałem...

- Że kłamałam, rozmawiając z Andym.

- Że kłamałaś w wielu sprawach, ale ty nie kłamiesz, prawda?

Potrząsnęła głową, po czym spojrzała mu w oczy.

- Tylko raz powiedziałam nieprawdę.

- Kiedy nie zastałem cię w domu, poczułem, że coś jest nie w porządku, ale nie potrafiłem tego nazwać.

Wiem, nie powinienem grzebać w twoich rzeczach...

- Grzebałeś?

- Tak - wyznał zawstydzony, ale ona tylko się uśmiechnęła.

- Nie szkodzi. Ja też jestem wścibska. Nie mogę się powstrzymać.

- Myślałem, że ona to ty.

- Bo tak jest. - Otworzyła oczy i spojrzała na zdjęcie: na dwie dziewczynki łądząco do siebie podobne, a mimo to bardzo różne. - Było. Prawdę mówiąc, czasami nie wiem, kiedy we mnie budzi się Cassie, a kiedy jestem sobą. Obłąd.

- Komuś, kto nie ma bliźniaka, mogłoby się tak wydawać.

- Hamish, dokąd idziemy po śmierci? - zapytała. Zadawał sobie mnóstwo trudnych pytań, ale to przebiło wszystkie inne. - Tyle miłości, energii, namiętności... Co się z tym dzieje?

Nagle pojął, o co jej chodzi. Sformułowała pytanie, które zadawał sobie od dawna w długie bezsenne noce. I po raz pierwszy poczuł, że jest bliski znalezienia odpowiedzi.

- Myślę, że to przechodzi na ludzi, którym tego brakuje, albo na tych, którzy potrafią pomóc. - Zawiesił głos. - Bel i ja darliśmy koty, nieustannie kłóciliśmy się o byle co. Kiedy umarła Emma, Bel stanęła przy mnie bez żadnych zastrzeżeń. Nawet nie wyobrażałem sobie, że jest do tego zdolna.

- To tak, jakby się wsiadło do autobusu. - Położyła się na poduszkach i zapatrzyła w sufit. - Autobus zwany smutkiem wyłania się z za rogu, a ty mimo że nie chcesz nim jechać, do niego wsiadasz. I okazuje się, że jest tam mnóstwo ludzi chętnych do pomocy, oni przez to przeszli, oni to znają. Jak Helen. Straciła męża.

- Helen i Eugene byli małżeństwem przez czterdzieści lat. Charlotte, nie masz racji, oni mają pięcioro dzieci.

- A ojciec najstarszego miał na imię Declan... - Posłała mu zmęczony uśmiech. - Helen miała szesnaście lat i bardzo go kochała.

- Helen?

- Tak. - Walczyła z sennością. - Helen też jechała tym autobusem.

- Śpij-

- Ale ja chcę rozmawiać.

- Jeszcze porozmawiamy. Teraz śpij.

Gdy się obudziła, jej wzrok padł na uśmiechniętą buzię Cassie na fotografii opartej o dzbanek z wodą. Serce jej się ścisnęło z tęsknoty. Do końca życia będzie jej siostry brakowało.

- Staram się żyć za nas obie.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć, tym bardziej że wyrwała go z drzemki. Starał się zrozumieć, co ona czuje, wiedząc przy tym, że to niemożliwe, więc powiedział to, co gdzieś przeczytał.

- Podobno smutek po śmierci bliźniaka, zwłaszcza jednojajowego, należy do najtrudniejszych.

- Zawsze byłem bliźniaczką. Do piętnastego roku życia byłem bliźniaczką. Podobnie Cassie. Nie byłyśmy siostrami, ale bliźniaczkami. - Wpatrywała się w niego, jakby chciała go zmusić, by to zrozumiał. - Byłam tą brzydką połową. - Milczał wbrew sobie, bo czuł, że jeśli ją wysłucha, będzie o krok bliższy jej zrozumienia. - Byłam typowym -drugim bliźniakiem. Mniejsza i słabsza. Do czasu. Miałam kilka „felerów” - ciągnęła. - Lekkie porażenie mózgowe, zeza, od-

stające ucho. Była tego cała lista, natomiast Cassie była zdrowa jak rydz. Widziałam w niej uosobienie doskonałości. Chciałam być taka jak ona.

- Zazdrościłaś jej?

- Nie. - Zamyśliła się. - Nie, podziwiałam ją. Była śliczna, pełna wiary w siebie, otwarta. Wszyscy ją kochali. Z czasem moje felery po kolei znikwały. Jazda konna pomogła zlikwidować utykanie, okulary zeza, aparat poprawił zgryz. Gorzej było z wiarą w siebie. To wymaga wielkiego wysiłku.

- Ciągłe czułaś się...

- Brzydka. Tak. I w dalszym ciągu rówieśnicy mi dokuczali, bo sama uważałam, że na nic więcej nie zasługuję. Cassie powtarzała mi, że mam z tym walczyć, wyjść do ludzi i dobrze się bawić, ale jeśli nie było jej w pobliżu, stawałam się nieśmiała i osamotniona. Chodziłam do szkoły, jeździłam konno, odrabiałam lekcje i na tym kończyły się moje zajęcia.

Potem zachorowałyśmy na grypę, prawie tego samego dnia. Jak ją zabolął ząb, za dziesięć minut mnie też bolał. Leżałyśmy bardzo chore w tym samym pokoju, a mama bardziej martwiła się o mnie, bo ja taka słaba... Ostatecznie okazało się, że taka słaba nie jestem. Sekcja wykazała, że Cassie miała wadę zastawek. Wcześniej jej nie wykryto, a wirus okazał się silniejszy od Cassie.

Teraz Hamish miał łzy w oczach. Czuł, że lada chwila się rozpłacze, ale nareszcie zaczynał rozumieć, co ukształtowało Charlotte.

- Długo mi o tym nie mówili. Zawieziono nas do szpitala i położono w dwóch osobnych pokojach. Byłam z tego powodu bardzo nieszczęśliwa i wściekła,

że nie wiem, co się dzieje. Myślałam, że lekarze tak się przejmują mną, a oni przez cały czas starali się dociec, co jest Cassie, przekonani, że i ja lada moment na to zapadnę. Nie miałam pojęcia, że ona umiera w sąsiednim pokoju. Wszyscy bali się mojej reakcji.

- Nie pożegnałaś się z nią?

- Ojej śmierci dowiedziałam się dwa dni później. Uważali, że tak należy postąpić, poza tym nie znali przyczyny zgonu, jeszcze nie wiedzieli, że ona miała wrodzoną wadę serca. Chcieli mi oszczędzić wstrząsu.

- Pociągnęła nosem. - Powinnam być przy niej.

- Tak.

- Mimo że minęło już tyle lat, mimo że wiem teraz dużo więcej, ciągle żałuję, że nie pozwolono mi podjąć tego ryzyka.

- To źle, że tego nie zrobiono. - Mimo że nie miał z tym nic wspólnego, wstydził się za swoich kolegów po fachu, było mu przykro, że przez nich Charlotte straciła coś tak ważnego.

- Nie będę płakać - rzuciła hardo. - Jeśli czekasz, aż się rozpłaczę...

- Wcale na to nie czekam.

- Już płakałam i nic mi to nie pomogło. Mam wrażenie, że płakałam równo przez cały rok po jej śmierci.

- Co ci, Charlotte, pomogło?

- Uświadomienie sobie, że mam się cieszyć, że żyję - odparła bez namysłu. - Zrozumiałam, że jedyne, co mogę dla niej zrobić, to żyć za nas dwie, zebrać całą jej wiarę w siebie i energię, tę energię, która gdzieś po niej została, i cieszyć się życiem. I do tej pory to robię.

- To widać. - Trochę mocniej ścisnął jej dłoń, tro-

chę lepiej ją rozumiał i o wiele mocniej pokochał. - Jak się lepiej czujesz, jak będziesz gotowa...

- Mam się wyprowadzić? Hamish, ja cię rozumiem.

- Nie, Charlotte, wcale mnie nie rozumiesz. Nie chcę, żebyś się wyprowadziła. - Jak to możliwe, że ona ciągle się nie domyśla?! - Próbuję powiedzieć, że jak wyzdrowiejesz, to gdybyś zechciała... Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyśmy razem poszli na drinka albo zjedli kolację. Nie jakieś tam danie w domu, bo nie mam z kim zostawić dziecka, nie podczas szpitalnego bankietu...

- Chcesz się ze mną umówić? - Zatrzepotała rękami.

- Chcę się z tobą umówić na staroświecką randkę. - Uśmiechnął się pod nosem. - W opinii Helen tak to powinno wyglądać.

- Tym razem bez namiętnego seksu?

- Wykluczone. Seks jest zarezerwowany dla tych, co wzięli ślub.

- O!

- Będziemy tylko rozmawiać i rozmawiać, żeby się lepiej poznać - mówił mocno przestraszony, ale wybuchnął śmiechem, gdy się skrzywiła.

- Bardziej mi się podobało po naszymu.

- Naprawdę?

- No, może można by trochę więcej pogadać - stwierdziła. - Ale już to zrobiliśmy.

On jednak nadal zachowywał powagę.

- Charlotte, tamtego ranka woda jeszcze się nie zagotowała, a ty... .

- Myślałam, że każesz mi się wyprowadzić.

- Skądże - zaprzeczył z przekonaniem, ale po chwili lekko zwątpił. - Jak mogłaś tak ignorować Baileyę? Jakbyś nie chciała go znać.

- Coś ty! Byłam chora, zmęczona i przerażona perspektywą zerwania, więc gdybym się do niego choćby zbliżyła... - W jej oczach zalśniły łzy. - To był ten jedyny raz, kiedy skłamałam. - Nastawił uszu. - To nie była dla mnie „jedna z wielu tych rzeczy”. Hamish, ja cię kocham.

- Wiem.

- Zdaję sobie sprawę, że tęsknisz za Emmą.

- Bardzo mi jej brakuje - przytaknął. - Ale byłem przekonany, że nikt tego nie rozumie i nie wierzyłem, że mogę znowu być szczęśliwy, aż ty się zjawiłaś. Zakochałem się w tobie chyba w dziesięć sekund po tym, jak cię poznałem.

- To dlaczego tyle zwlekałeś?

- Jesteś jasnym promykiem w moim życiu, tak jak dla wszystkich tych, którzy staną na twojej drodze. Kocham twoje szalone podejście do życia, ale, Charlotte... - Przyciągnął ją do siebie. - Pamiętaj, że od czasu do czasu - wierzył święcie, że tak będzie do końca życia - jak będzie ci -za ciężko, możesz zawsze liczyć na moje wsparcie.

- Żebym się pozbiierała i znowu ruszyła do działania?

- Tak jest. Możesz na mnie liczyć - powtórzył.

Skorzystała z tej propozycji. Nie płakała, ale wtuliła się w niego, a on gładził ją po włosach, uwalniając ją od horroru minionych dni, igieł i poziomów cukru, nieżywych kucyków, matek, które poszły w swoją stronę. W końcu uśmiechnięta podniosła głowę.

- Lepiej?
- Lepiej. - Oparła mu głowę na ramieniu i zwierzyła z najnowszego zmartwienia. - Bardzo mi się podobał ten namiętny seks. - Oboje wstrzymali oddech.
- Czy to jest propozycja?
- Chyba tak. Jeżeli Helen się upiera, że absolutnie musimy czekać aż do ślubu, to myślę, że nie należy...
- Złożę dokumenty.
- Bardzo cię o to proszę. - Odsunęła się od niego. -
Leć już!
- To potrwa ze dwa tygodnie.
- To się pospiesz - ponaglała go. - Gdybyśmy w podróż poślubną pojechali przed ślubem, to moglibyśmy poleżeć z Baileyem na jakiejś egzotycznej plaży i tam przeczekać, aż wydobrzeję. - Mrugnęła do niego. - Ale nie powiemy o tym Helen. No, na co czekasz?
- Na całusa. - Ujął jej twarz w dłonie i całując spierzchnięte wargi, nie mógł się zdecydować, czy zostać u niej dłużej, czy zabrać się za planowanie ich wspólnego życia.

EPILOG

Już nic nie było w stanie go zadziwić.

Wszedłszy do domu po długim i pracowitym dniu w szpitalu, tylko uniósł brwi na widok Charlotte przy maszynie do szycia. Ten sporej wielkości mebel miał ze sto lat i w jego salonie pełnił funkcję dekoracyjną. Nawet nie wiedział, że działa, a kupił ją razem z domem.

Teraz siedziała przy niej Charlotte, zszywając kilometry szyfonu, przy czym za każdym razem, kiedy zrywała się jej nitka, klęła niczym szewc. Mimo że na jej twarzy dostrzegł ślady łez, powitała go uśmiechem.

- Która to godzina?

- Zdecydowanie za późna - westchnął. - Piekło się zaczęło jakieś dziesięć minut po tym, jak skończyłaś dyżur. Ach, odwiedził mnie też jeden z twoich kolegów, Andy. Z rozbitym nosem i wybitym zębem.

- O nie...

- O tak. - Hamish wyszczerzył zęby. - Stał na bramce, kiedy jego klasa grała w nogę, i dostał piłką w twarz. Świetnie sobie radzi. Jego skóra wygląda o wiele lepiej, a poza tym ma już paru przyjaciół.

- Naprawdę?

- Tak. A co u ciebie?

- W porządku - wykrztusiła.

Oczekiwał, że się uśmiechnie, ale się nie doczekał. Wskazała na Baileya, który pracowicie rysował przy stoliku do kawy, w związku z czym cały blat był pomazany czerwoną kredką.

- Nazwał mnie mamą.

- Och.

- Zaczęłam się wtedy zastanawiać, co byś czuł, gdyby o mnie mówił „mama”. Nie jestem jego prawdziwą mamą...

- On cię uwielbia - odparł Hamish cicho. - Ja cię uwielbiam. - Na ułamek sekundy ścisnęło mu się serce. - Emma też by cię uwielbiała.

- Na pewno?

- Na pewno. - Przytulił ją, bo wiedział, że tego potrzebuje. Bardzo chciał powiedzieć to, na co czekała: że dla niego i Baileya jest wszystkim. Ale byłoby to nie fair wobec Emmy, wobec innego świata, który był równie wspaniały. Czy rzeczywiście można tak bardzo kochać dwie osoby?

- Jutro wieczorem wychodzę - odezwała się. - Elsie powiedziała, że przyjdzie, gdyby cię wezwano.

- Okej. - Starał się nie okazać, że jest mu przykro, że nie dostrzegła, jak ważna była dla niego ta chwila. Jak nieswojo się poczuł na wieść, że Bailey uznał za swoją mamę kogoś innego niż Emma.

-Salsa?

- Salsa? - Obrzuciła go spojrzeniem pełnym dezaprobaty. - Po co bym obszywała szyfon złotymi kółkami? Zaczynamy kurs tańca brzucha. Wszystkich na to namawiam. Nie widziałeś ogłoszenia?

- No, jeżeli zwerbujesz Helen, to na pewno do was nie dołączę. I nawet nie będę z tego się tłumaczył.

- Nikt tego od ciebie nie oczekuje - zachichotała.
- To jest tylko dla kobiet. Podobno fantastycznie wzmacnia dno miednicy. Helen mówi...

- Przestań. - Zasłonił uszy. - Nie chcę słyszeć, że Helen cierpi na wysiłkowe nietrzymanie moczu. Jutro mam z nią dyżur.

- Helen mówi... - Uwolniła się z jego objęć, wspięła na palce i szeptem, który natychmiast podsunął mu pomysł podania Baileyowi makaronu instant, by jak najszybciej mogli znaleźć się w sypialni, powtórzyła:
- Helen mówi, że taniec brzucha wzmacnia mięśnie dna miednicy, że to bardzo dobre ćwiczenie dla ciężarnych.

Tego się nie spodziewał. Każdego wieczoru cieszył się z powrotu do domu, ale to powitanie było wyjątkowe.

- Kiedy się dowiedziałas?

- Pięć minut przed końcem dyżuru. Podebrałam test ciąży. Przepraszam, że najpierw podzieliłam się tą nowiną z Helen, ale byłeś zajęty na reanimacji, a ja po prostu musiałam się z kimś podzielić taką wiadomością...

Rozumiał ją, bo sam miał ochotę wybiec na dwór, by obwieścić całemu światu, że będą mieli dziecko. Fakt, że już raz to przeżywał, nie umniejszał wagi tego wydarzenia.

Charlotte nosi jego dziecko i tego samego dnia Bailey nazywa ją „mama” - to nie jest zwyczajny zbieg okoliczności.

Uśmiechała się, bo lepiej się uśmiechać niż płakać, cieszyć się tym, co się ma, a nie ubolewać nad tym, co się straciło. Ale widząc jej zaczerwienione oczy, uznał, że trzeba ją przytulić.

- Będzie dobrze, prawda? Pomimo cukrzycy.
- Ależ tak. Oboje będziecie pod czujną opieką.
- Chciałam zająrzeć do Internetu, poczytać...
- Ale w porę się połapałaś, że lepiej nie. Z przyjemnością wykorzystam swoją pozycję. Pozwól lekarzom zajmować się twoją cukrzycą.

- A położnikowi...

- Zgadłaś!

Pogładził ją po brzuchu.

- To niesamowite, że można kochać kogoś, kogo jeszcze nie ma - szepnęła. - Na razie to tylko kilka komórek, nie wiadomo chłopiec czy dziewczynka, jedno czy więcej, a ja już wariuję ze szczęścia.

- Myślę, że to właśnie jest miłość. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym drugie dziecko kochać tak mocno jak Baileya.

- Na pewno je pokochasz. Ja to wiem.

On też nie miał wątpliwości.

- To, że nie ma już Emmy i Cassie, nie znaczy, że ich miłość przepadła - rzekła półgłosem - ani że nie wolno nam kochać ich dalej. No, dosyć zasmucania.

- Wyszwoodziła się z jego ramion. - Usiądź.

- Dlaczego? Masz w zanadru jeszcze jakieś wiadomości?

- Nie. Usiądź z Baileym. - Wyjęła z torby pomadkę, po czym sięgnęła po zwoje szyfonu. Westchnął, przeczuwając, co go czeka. Czy inne pary też robią takie dziwne rzeczy? - Pora na przedstawienie!

Wpatrywali się w tę niezwykłą zawoalowaną kobietę, której taniec przyprawiał ich o paroksyzmy śmiechu.

- Mama! - zapiszczał Bailey, klaszcząc i zagrze-
wając ją do tańca. Wcale nie wyglądała jak egzotycz-
na tancerka, ale kto by się przejmował takimi szcze-
gółami?

RS